

NAUKA • BADANIA • KULTURA

Rok XXXIII (L) / nr 9–10 (419)

październik 2024 / cena 5 zł

ISSN 1230-9710

Ukazuje się od 1952 roku

GŁOS UCZELNI

CZASOPISMO UNIwersYTETU MIKOŁAJA KOPERNIKA W TORUNIU

- | **Cały ten smog**
- | **Duch i materia**
- | **Miłość do sportu**
- | **Smażyć? Ale na czym?**



UNIwersYTET
MIKOŁAJA KOPERNIKA
W TORUNIU

34

TORUŃ BLUES

MEETING

★ OD NOWA ★

22-23 listopada 2024

★ ★ ★ ★ ★ ★ ★ ★ ★ ★ ★ ★ ★ ★ ★ ★

KUJAWY I POMORZE

22 listopada 2024, piątek, godz. 19:00

ELECTRIC SOUL COMPANY (USA/IT)

BLUES FIGHTERS (PL/USA) ★ THE TALKING HARP BLUES BAND (PL)

ADAM BARTOŚ & JURAJ SCHWEIGERT (PL/SK) ★ FALKENBLUES (PL)

23 listopada 2024, sobota, godz. 19:00

SIXTYFIVE CADILLAC (D/NL/GR/PL)

EDDIE ANGEL (GB/JPN/PL) ★ TORTILLA + 1 (PL)

HAZE ACOUSTIC TRIO (PL) ★ ONUS BLUES (PL)

PO KONCERTACH JAM SESSIONS

Bilety i karnety: EmpikBilety.pl oraz w aplikacji Going., Od Nowa (ul. Gagarina 37a)

Informacje: blues@umk.pl

www.blues.umk.pl



PARTNER GŁÓWNY
Samorząd Województwa
Kujawsko-Pomorskiego



Partnerem głównym wydarzenia jest
Samorząd Województwa
Kujawsko-Pomorskiego



Dofinansowane przez
Unię Europejską



PATRONAT MEDIALNY



Głos na stronie

– Wiesz, kochanie, jakie teraz kręgi towarzyskie się przed nami otwierają – rzekł po powrocie do domu z zaliczonego kolokwium habilitacyjnego pan doktor X (tu kłania się RODO). Ten sam nazajutrz postanowił trochę nowych zasad od razu wcielić osobiście w życie towarzyskie i z częścią koleżanek oraz kolegów z wydziału przeszedł z powrotem na formę „pani, pan”. A kto doktorowi habilitowanemu (a wkrótce profesorowi) zabroni!

Gwoli jasności – to nie jest zmyślona na potrzeby tego felietonu historyjka, lecz opowieść zasłyszana od jednej z osób z władz uczelni. Cóż, czasem życie wyprzedza fantazję. O UMK pisuję już od ponad 40 lat, „Głosem Uczelni” kieruję około 20 lat – to się człowiek naoglądał różnych rzeczy, różnych ludzi spotykał.

I pewne prawidłowości da się z tych obserwacji sformułować. U prawdziwych ludzi nauki (a tych na szczęście spotykałem wielu) tak zwana kariera odbywa się mimowolnie, stopnie, tytuły pojawiają się przed nazwiskiem jakby automatycznie i zasłużenie niczym naturalne zwieńczenie poszczególnych etapów owej kariery.

Z rzadka, niestety, przytrafiało mi się obserwować rozpaczliwe podejścia do zawodowych progów osób, które – szczerze mówiąc – powinny dać sobie spokój i uznać, że naukowiec to nie jest profesja, do której się nadają. Jak mawiał (choć w trochę innym kontekście) uczący mnie jeszcze podczas studiów logiki dr Henryk Moese: jest tyle innych pięknych zawodów. Nie każdy musi zabierać innym miejsce na uniwersytecie.

Każdy, kto z uczelnią ma dłuższy czas do czynienia, zapewne mógłby podać przykłady takich osób. Habilitacje przewlekane w nieskończoność. Nieudane próby tłumaczone teoriami spiskowymi, choćby takimi, że jakiś profesor się zawziął, jakiś kolega, jakaś koleżanka – zawistni coś knuli.



Ale jak już w końcu się udało, to cały świat musi się dowiedzieć, że sukces osiągnięty został, że już wkrótce będzie można zwracać się do takiej osoby „pani profesor”, „panie profesorze”! Sam też miałem jakiś czas temu do czynienia z takim przypadkiem. Osoba (znów RODO) pytała mnie po uzyskaniu habilitacji kilka razy, czy dostrzegam u niej zmiany. Co miałem odpowiedzieć? Trzeba było skłamać: oczywiście, że nie.

Nie chcę jednak pisać dziś tylko o negatywach. Ta cała tytułomania ma również pozytywne aspekty. Wszak świadczy o tym, że stopień, tytuł naukowy wciąż wiąże się z prestiżem. A jeśli prawdziwy, należy – z prestiżem jak najbardziej zasłużonym.

Gorzej, gdy zdobyty w szemrany sposób. Jakieś tropy słowackie, a ostatnio bułgarskie, jakieś collegium oferujące szybką ścieżkę do dyplomu bez smutnej konieczności pracy i nauki. Trochę mi to przypomina opowieści z dawnych czasów, kiedy to co niektórzy nowobogaccy kupowali sobie tytuły szlacheckie. Na szczęście prawdziwa szlachta i arystokracja szybko ich demaskowała – jak choćby pewnego czeskiego producenta fajansu, któremu majątek otworzył drogę do tytułu, ale bogactwo nie uchroniło go przed samotnością i ostracyzmem arystokracji.

Winicjusz Schulz

Redaktor naczelny „Głosu Uczelni”

NAUKA • BADANIA • KULTURA

**GŁOS
UCZELNI**

Ten numer „Głosu Uczelni” został zamknięty

23 września 2024 roku.

Redaktor prowadzący: Winicjusz Schulz

e-mail: glos-umk@umk.pl

www.glos.umk.pl



Cały ten smog

s. 8



Funk – życie, witaminy, naukowe niepokoje...

s. 21



Duch i materia

s. 16



Miłość do sportu

s. 45

NAUKA • BADANIA • KULTURA
**GŁOS
UCZELNI**

Zespół redakcyjny: Winicjusz Schulz (redaktor naczelny), Marcin Czyżniewski, Marcin Lutomierski, Maurycy Męczekalski, Tomasz Ossowski, Andrzej Romański, Wojciech Streich, Ewa

Walusiak-Bednarek.

Stale współpracują: Sebastian Dudzik, Jarosław Dumanowski, Marek Jurgowiak, Nikodem Pręgowski, Tomasz Wojciechowski, Sebastian Żurowski.

Adres redakcji: 87-100 Toruń, ul. Reja 25, pokój 7 i 12, tel. 56 611-42-89, 56 611-42-39.

Opracowanie graficzne: Nikodem Pręgowski

Skład: Dariusz Żulewski

Druk: Wydawnictwo Naukowe UMK, ul. Gagarina 5, 87-100 Toruń, tel. 56 611-42-95, e-mail: wydawnictwo@umk.pl

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz ich tytułów.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam.



Smażyć? Ale na czym?

s. 52



Ruskie czy ukraińskie? Jedzenie, historia i polityka

s. 54



Koniec pewnej epoki

s. 70

Głos na stronie	3
Premiera medialna	6
Cały ten smog	8
Duch i materia	16
Funk – życie, witaminy, naukowe niepokoje...	21
Współczesne wyzwania dla promocji	26
Nowy przekład <i>Kroniki</i> Galla Anonima	29
Współpraca naukowa (nie tylko) w czasie wojny: Toruń i Charków	32
O planach stworzenia indologii na UMK i innych niewykorzystanych możliwościach	39
Miłość do sportu	45
Zniewaga i zniestawianie w prawie polskim	50
Smażyć? Ale na czym?	52
Ruskie czy ukraińskie? Jedzenie, historia i polityka	54
Biały Toruń	60
Ortografia, głupcze!	62
Trzy kątomierze lusterkowe	63
Polska w Canterbury	68
Koniec pewnej epoki	70
Stanowisko dyrektora Instytutu Archeologii UMK w sprawie badań archeologicznych w strefie reliktów kościoła św. Krzyża i cmentarzyska (stanowisko 114)	73



Fot. Andrzej Romański

Tradycyjnie, z początkiem września nastąpiła inauguracja nowej kadencji władz rektorskich. Przypomnijmy, że na stanowisko rektora Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu powrócił prof. dr hab. Andrzej Tretyn (na zdjęciu pośrodku), a w obecnym gronie prorektorek i prorektorów są (na zdjęciu od lewej):

- dr hab. Magdalena Barwiołek, prof. UMK, prorektorka ds. kontaktów międzynarodowych;
- dr hab. Adam Kola, prof. UMK, prorektor ds. nauki, pierwszy zastępca rektora;
- dr hab. Monika Wałachowska, prof. UMK, prorektorka ds. studenckich i kształcenia;
- dr hab. Joanna Kucharzewska, prof. UMK, prorektorka ds. promocji i współpracy z otoczeniem społeczno-gospodarczym;
- dr hab. Radosław Sojak, prof. UMK, prorektor ds. kadrowych i polityki finansowej;
- prof. dr hab. Dariusz Grzanka, prorektor ds. Collegium Medicum.

Winicjusz Schulz

Premiera medialna

19 września nowe władze rektorskie UMK zaprosiły przedstawicieli mediów na pierwszą w tej kadencji konferencję prasową. Spotkanie odbyło się w Akademickiej Strefie Relaksu (w Bibliotece Uniwersyteckiej). Także dla tego miejsca była to medialna premiera.

Rektor prof. Andrzej Tretyn nakreślił priorytety na najbliższą kadencję, dodając, że więcej szczegółów zaprezentuje w swym wystąpieniu podczas

inauguracji roku akademickiego. A będzie to rok szczególny, bo przypadają w nim aż trzy jubileusze, określone symbolicznie jako „20–40–80”. 20, bo tyle już lat mija od przyłączenia ówczesnej Akademii Medycznej (a dziś Collegium Medicum) w Bydgoszcy do Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. 40 – tyle lat temu przyjęta została ustawa o utworzeniu Akademii Medycznej im. Ludwika Rydygiera w Bydgoszcy na bazie Zamiejskiego Wydziału Lekarskiego

Gdańskiej Akademii Medycznej. A 80 – to „wiek” UMK. 24 sierpnia 1945 r. przyjęty został Dekret Rady Ministrów o utworzeniu Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Potrójny jubileusz uczczony zostanie wieloma wydarzeniami, o których wiele mówiła prof. Joanna Kucharzewska, prorektorka UMK do spraw promocji i współpracy z otoczeniem gospodarczym. W planach są m.in. wyjazdowe posiedzenie kolegium rektorskiego oraz senatu w Bydgoszczy (w Filharmonii Pomorskiej). Z kolei mieszkańcy Torunia będą mogli być świadkami uroczystego posiedzenia Senatu UMK na Rynku Staromiejskim. Już podczas jednego z poprzednich jubileuszów takie wydarzenie miało miejsce i odbiło się szerokim echem – stąd decyzja o powtórzeniu tej formuły posiedzenia w scenerii toruńskiej starówki i pomnika patrona Uniwersytetu. Zaplanowano także liczne imprezy naukowe, kulturalne (np. w klubie „Od Nowa” obejrzyć będzie można dzieła znanego plastyka Jacka Yerki).

A propos sztuk – warto wspomnieć, że na dwóch budynkach (gmachu Collegium Medicum w Bydgoszczy oraz jednym z wieżowców przy ul. Gagarina w Toruniu) powstaną okolicznościowe murale (projekt Andrzej Poprostu).

Potrójny jubileusz będzie miał też swoje logo (nawiązujące do identyfikacji graficznej UMK), nawiązujące do astronomii i wspomnianych już liczb „20-40-80”. „Rezonans orbitalny galileuszowych księżyców Jowisza 4:2:1, odpowiada proporcji 80:40:20 i to właśnie on, jako jeden z efektów synergii ciał niebieskich, jest inspiracją projektu logo dla obchodów jubileuszy 20-lecia, 40-lecia i 80-lecia Uniwersytetu Mikołaja Kopernika” – tak o tym projekcie piszą jego autorzy z dobosz.studio.

Podczas spotkania w Akademickiej Strefie Relaksu zaprezentowano też prototyp honorowego wyróżnienia *Laurus Aesculapii*. Będzie pełniło w Collegium Medicum podobną rolę jak dotąd na UMK słynne już *Convallaria Copernicana*. Honorowane będą nim osoby szczególnie zasłużone dla uczelni, mające wielki wkład w naukę. Autorką statuetki jest prof. Alicja Majewska.

Prof. Monika Wałachowska, prorektorka ds. studenckich i kształcenia przy okazji spotkania z mediami przypomniała o akcji pomocy dla powodzian



(UMK kieruje ją szczególnie do mieszkańców Głucholazów). Dodała też, że uczelnia gotowa jest także wprowadzić ulgi, udogodnienia dla studentów UMK pochodzących z terenów dotkniętych powodzią. Pomoc może polegać np. na ulgach finansowych, ułatwieniach w zakwaterowaniu, wsparciu psychologicznym, a nawet na usprawiedliwianiu nieobecności na zajęciach, jeśli student, studentka będą w tym czasie pomagać bliskim dotkniętym klęską powodzi.

Zdjęcia: Andrzej Romański



Cały ten smog

Z dr. hab. Grzegorzem Przybylskim, prof. UMK – kierownikiem Katedry Chorób Płuc, Nowotworów i Gruźlicy na Wydziale Lekarskim – o wpływie postępującego zanieczyszczenia powietrza na choroby układu oddechowego rozmawia Tomasz Ossowski

– Spośród wszystkich zatruwanych wskutek rozwoju cywilizacji elementów środowiska naturalnego za najbardziej dokuczliwe dla człowieka uznaje się zanieczyszczone powietrze. Nie możemy przecież żyć, nie oddychając. A oddychając, narażeni jesteśmy na bezpośrednie negatywne działanie smogu.

– Szkodliwy wpływ smogu dotyczy niemal całego organizmu człowieka. Przede wszystkim smog zwiększa ryzyko przedwczesnej śmierci. Z dostęp-

nych badań wynika, że powietrze zanieczyszczone pyłem może skrócić życie od 6 do 12 miesięcy. Jak podaje inicjatywa Polski Alarm Smogowy, z powodu smogu co roku umiera przedwcześnie 45 tys. Polaków. Udowodniono, że zanieczyszczenie powietrza odbija się negatywnie nie tylko na układzie oddechowym, ale także sercowo-naczyniowym, nerwowym oraz rozrodczym.

Jest przyczyną nowotworów, i to nie tylko w obrębie płuc, ale także raka pęcherza moczowego, mó-

zgu czy szyjki macicy. Ponadto, może powodować problemy z pamięcią i koncentracją uwagi, pogorszenie stanu psychicznego – niepokój, stany depresyjne, obniżoną zdolność uczenia się – oraz podrażnienie skóry i oczu. Coraz częściej mówi się o tym, że to także jedna z przyczyn choroby Alzheimera. Według danych WHO tylko w 2016 r. w Polsce z powodu zanieczyszczenia powietrza zmarło blisko 29 tys. ludzi. Dla formalności, warto tu też odnotować rok 1952, kiedy w tzw. Wielkim Londynie w ciągu zaledwie kilku dni z powodu skażonego pyłami powietrza zmarło ok. 4 tys. osób.

– Skąd cały ten smog w powietrzu?

– Przede wszystkim stąd, że zwyczajnie w świecie dogrzewamy nasze domy, spalając w kotłach węgiel lub inne paliwo stałe, w wyniku czego emitujemy szkodliwe substancje do atmosfery. I to niezależnie od jakości opatu. Oczywiście, palenie odpadami, oponami czy zwykłymi śmieciami dodatkowo zwiększa toksyczność smogu, ale problemem jest sam fakt emisji spalin, spowodowanej dogrzewaniem domów. Jak podaje Institute for Security, Energy and Climate Studies (ISECS), ogrzewanie – a w zasadzie dogrzewanie – indywidualne w budynkach mieszkalnych jest odpowiedzialne aż za 40% emisji pyłu PM10, w porównaniu do transportu – 5,5% czy przemysłu – 16%. Potwierdzają to dane naszego Ministerstwa Klimatu i Środowiska, zgodnie z którymi przyczynę emisji szkodliwych substancji do atmosfery i zanieczyszczenia powietrza w Polsce stanowi tzw. niska emisja z naszych domów, czyli emisja w wyniku dogrzewania. Kolejne przyczyny to spaliny wielkich fabryk, palenie w piecach węglem i spaliny samochodów.

– Mówiąc o dogrzewaniu, chodzi tylko o aspekt semantyczny?

– Wcale nie. Smog jest efektem właśnie dogrzewania spowodowanego bardzo słabym ociepleniem domów lub jego całkowitym brakiem. Przez ściany i dach ucieka tyle ciepła, że musimy dogrzewać domy bardziej i dłużej, zwiększając emisję pyłów i szkodliwych substancji do atmosfery. Zważywszy dodatkowo, że w Polsce mamy ok. 5 mln budynków jednorodzinnych, skala ta ma istotne znaczenie w kontekście przyczyn powstawania smogu.

Do tego palącym problemem naszego społeczeństwa jest ubóstwo energetyczne widoczne



niemal w każdym regionie kraju. Polaków nie stać na opłaty związane z ogrzewaniem nieocieplonych domów, więc palą paliwem najniższej jakości, starając się maksymalnie obniżyć koszty ogrzewania. Z analiz Instytutu Badań Strukturalnych wynika, że na ogrzewanie, ciepłą wodę i elektryczność nie stać aż 4,6 mln osób, a więc co ósmy Polak ma problem z pokryciem opłat dotyczących podstawowych potrzeb. Warto zaznaczyć, że ubóstwo energetyczne nie zawsze pokrywa się z ubóstwem dochodowym – aż 2,6 mln osób dotkniętych ubóstwem energetycznym popada w nie z powodu niskiej efektywności energetycznej budynków, w których mieszka. Jeśli chodzi o całkowitą emisję zanieczyszczeń, to według danych Krajowego Ośrodka Bilansowania i Zarządzania Emisjami, głównym źródłem pyłu zawieszonego i dominującym źródłem zarówno wielopierścieniowych węglowodórów aromatycznych (WWA), jak i związków z grupy dioksyn, są w Polsce „procesy spalania poza przemysłem”. Pod tym pojęciem kryją się przede wszystkim zanieczyszczenia generowane przez domowe piece, kotły i kominki opalane węglem i drewnem. Cały czas są to zazwyczaj prymitywne urządzenia o niskiej sprawności energetycznej i bardzo wysokiej emisyjności.

Jak wspominałem, znaczący udział w emisji pyłu zawieszonego i tlenków azotu, a także pewien udział w całkowitej emisji WWA ma również transport, szczególnie pojazdy z silnikami Diesla. Z kolei zakłady przemysłowe, zwłaszcza koksownie, huty, rafinerie ropy naftowej, elektrownie węglowe, ale także na przykład zakłady produkujące płyty wiórowe, pozo-



stają istotnym źródłem emisji pyłu zawieszonego, WWA, tlenków azotu i siarki, ale także arsenu oraz metali ciężkich, takich jak rtęć, kadm czy ołów.

– W kontekście chorób układu oddechowego, istotna jest też jakość powietrza w pomieszczeniach?

– Warto zwrócić uwagę na wyraźne rozróżnianie zanieczyszczeń napływających do budynków z zewnątrz od zanieczyszczenia powietrza wewnętrznego wskutek ogrzewania. Wykazano, że istotny wpływ na jakość powietrza wewnątrz budynków ma przedostawanie się produktów spalania, w tym pyłu zawieszonego, z paleniska bezpośrednio do pomieszczenia, w którym znajduje się urządzenie grzewcze, na przykład starszego typu kocioł lub piec na paliwa stałe, kominek, kuchnia węglowa czy inne urządzenia spalające biomasę lub węgiel. Okazuje się, iż stężenie pyłu zawieszonego wewnątrz domu ogrzewanego paliwami stałymi może być znacznie wyższe niż stężenie, z jakim mamy do czynienia w tym samym czasie w powietrzu zewnętrznym.

Pomiary prowadzone przez członków Polskiego Alarmu Smogowego pokazały, że w przypadku kominka z zamykaną komorą spalania, po rozpaleniu ognia, przy zamkniętych drzwiczkach pyłomierz pokazywał ok. 150 $\mu\text{g}/\text{m}^3$ pyłu PM 10. Było to stężenie znacznie wyższe niż panujące w tym samym czasie na zewnątrz. Po dołożeniu drewna, drzwiczki pozostawiono otwarte. W krótkim czasie stężenie pyłu wewnątrz domu, i to nie tylko w pomieszczeniu,

w którym znajdował się kominek, ale też w sypialni na piętrze, wzrosło do ok. 250 $\mu\text{g}/\text{m}^3$ pyłu PM10. Należy zaznaczyć, że według osób prowadzących ten eksperyment, warunki spalania (ciąg) były dobre, a dym ani razu nie wrócił w zauważalnych ilościach do wnętrza domu. Jeszcze wyższe stężenia pyłu zawieszonego, w dodatku utrzymujące się przez wiele godzin, występowały w mieszkaniach wyposażonych w prymitywne piece na węgiel.

Mówiąc o zanieczyszczeniach powietrza wewnątrz naszych mieszkań, nie można pominąć tlenku węgla (czadu). W Polsce rocznie z powodu zaccadzenia umiera ok. 300–400 osób (dane za lata 2000–2011). Całkowita liczba zatruc tlenkiem węgla, z których wiele kończy się trwałym inwalidstwem, jest wielokrotnie większa – w latach 2005–2011 z tego powodu hospitalizowano między 2,5 a 5 tys. osób rocznie. Większość przypadków zatruc tlenkiem węgla notowana jest w Polsce w sezonie grzewczym.

A zatem narażenie na wszelkie zanieczyszczenie powietrza i jego skutki dla układu oddechowego stanowi poważny problem zdrowotny i społeczny. Tym bardziej z tej prozaicznej konstatacji, że... nie możemy żyć, nie oddychając.

– Za szczególnie niebezpieczne dla naszego zdrowia uważa się obecne w smogu pyły zawieszone. Czym są i od czego zależy ich przenikalność do układu oddechowego?

– Składnikami smogu są drobiny pyłu zawieszone w powietrzu. Z punktu widzenia ochrony i promocji zdrowia są to substancje szczególnie szkodliwe. To, jak silnie zanieczyszczenia pyłowe wpływają na zdrowie, zależy od ich stężenia w powietrzu i od czasu ekspozycji – czyli od całkowitej ilości zanieczyszczeń, która dostaje się do naszego organizmu – ale może też zależeć od rozmiarów, kształtu i składu chemicznego cząstek pyłu. Skład ten zależy z kolei od źródła pochodzenia pyłów.

O ile istnieją mocne dowody na szkodliwy wpływ na zdrowie pyłów pochodzących ze spalania paliw kopalnych lub biomasy, o tyle negatywne skutki narażenia na pył mineralny – czyli pochodzący z erozji gleby, czy też pył pustylny – są mniej pewne. W wielu opracowaniach można spotkać się z określeniem pył drobny PM 2,5 oraz pył gruboziarnisty PM 10. Skrót PM pochodzi od angielskiego terminu „particulate matter”. Różnią się przede wszystkim wielkością cząsteczek. Cząstki PM 2,5 mają średni-

cę aerodynamiczną 2,5 mikrometra, a PM 10 zbudowany jest z cząstek o wielkości 10 mikrometrów. Dodatkowo pyły różnią się kształtem cząstek oraz wielkością ich powierzchni.

W skład smogu oprócz pyłów wchodzi metale ciężkie i przejściowe, wielopierścieniowe węglowodory aromatyczne, tlenki siarki, azotu, węgla oraz dioksyny.

– Jakie inne substancje wdychane z powietrza atmosferycznego są szkodliwe dla naszego układu oddechowego?

– W skład pyłu pochodzącego z procesów spalania węgla, pochodnych ropy naftowej czy biomasy mogą wchodzić różne szkodliwe dla zdrowia substancje, w tym rakotwórcze i mutagenne wielopierścieniowe węglowodory aromatyczne (WWA) i ich pochodne czy też inne wielopierścieniowe związki aromatyczne, związki z grupy dioksyn (PCDD/F), a także metale ciężkie i przejściowe oraz ich związki. Szkodliwy wpływ na zdrowie mają również zanieczyszczenia gazowe, takie jak tlenek węgla (CO) dwutlenek siarki (SO₂), dwutlenek azotu (NO₂) czy powstający z dwutlenku azotu w reakcjach fotochemicznych ozon troposferyczny (O₃). Zazwyczaj mamy zresztą do czynienia z jednoczesną ekspozycją na zanieczyszczenia gazowe i pyłowe.

– Jak różnicuje się choroby układu oddechowego?

– Z anatomicznego punktu widzenia zróżnicowanie wydaje się intuicyjne. Po prostu mamy choroby górnego i dolnego odcinka układu oddechowego. Natomiast z perspektywy fizjologicznej wyróżniamy, najogólniej rzecz ujmując, choroby obturacyjne i restrykcyjne.

O obturacji mówimy, gdy w przekroju dróg oddechowych pojawia się jakaś trudność, niedrożność, zablokowanie bądź ograniczenie przepływu powietrza przez drogi oddechowe. Obturację mogą wywołać stan zapalny, obrzęk, choroby obturacyjne, w tym przewlekła obturacyjna choroba płuc (POCHP), astma oskrzelowa, mukowiscydoza, rozedma, rozstrzenie oskrzelowe, przewlekłe zapalenie oskrzeli. Natomiast restrykcja to zmniejszenie całkowitej pojemności płuc. Do jej przyczyn płucnych należą m.in. choroby śródmiąższowe, zmiany zapalne i guzy nowotworowe a do przyczyn pozapłucnych – na przykład deformacja klatki piersiowej w przebiegu zmian zwyrodnienio-



wych kręgosłupa. Do restrykcyjnych chorób układu oddechowego zalicza się m.in. sarkoidozę, gruźlicę, pylicę płuc, krzemicę, choroby śródmiąższowe płuc, zwłóknienie.

– Smog w powietrzu może być bezpośrednią przyczyną chorób układu oddechowego, ale może też skutkować zaostrzeniem chorób już istniejących.

– Międzynarodowa Agencja Badań nad Rakiem (IARC) w 2013 r. sklasyfikowała pył zawieszony jako substancję o udowodnionym działaniu rakotwórczym (grupa I). Rok wcześniej do kancerogennych zostały też zaliczone spaliny emitowane przez silniki Diesla, które zresztą uznano za substancję „prawdopodobnie rakotwórczą dla ludzi” już w roku 1988. Wiele badań potwierdza związek między oddychaniem zanieczyszczonym powietrzem a ryzykiem rozwoju niektórych nowotworów, przede wszystkim raka płuca, ale też na przykład raka pęcherza moczowego i innych organów. Warto tu od razu podkreślić, że ryzyko zachorowania na raka płuca, związane z długotrwałą ekspozycją na zanieczyszczenia powietrza jest zazwyczaj istotnie mniejsze niż ryzyko związane z wieloletnim paleniem tytoniu. Jednak w przeciwieństwie do dymu tytoniowego, narażeni na oddychanie zanieczyszczonym powietrzem jesteśmy praktycznie wszyscy, jak już to stwierdziliśmy na wstępie.

Według danych Światowej Organizacji Zdrowia za rok 2010, w skali całego globu wpływowi zanieczyszczenia powietrza można przypisać ok. 223 tys., czyli ok. 15% zgonów z powodu raka płuca. Jeśli cho-



dzi o sytuację w Polsce, to na tle większości krajów Unii Europejskiej, może być ona szczególnie zła, i to z dwóch powodów. Po pierwsze w Polsce, szczególnie w Małopolsce i na Śląsku, typowe długookresowe narażenie na pył zawieszony jest wysokie lub bardzo wysokie. Po drugie, w porównaniu z krajami zachodniej Europy, ale też z USA czy Japonią, w sezonie grzewczym pył zawieszony w Polsce zawiera kilkanaście a nawet kilkadziesiąt razy więcej substancji rakotwórczych, w tym wielopierścieniowych węglowodorów aromatycznych, związków z grupy dioksyn i innych bardziej „egzotycznych” substancji o działaniu kancerogennym, których stężenia nie są regularnie mierzone. Dodatkowo, istotnym źródłem substancji kancerogennych obecnych w polskim powietrzu jest też spalanie w domowych paleniskach i na otwartej przestrzeni toksycznych odpadów, na przykład tworzyw sztucznych, płyt wiórowych, lakierowanego czy też impregnowanego drewna. Wpływ tego typu praktyk na zdrowie, w tym na rozwój chorób nowotworowych, jest trudny do oszacowania, ale może być bardzo poważny. Oprócz przyczyniania się do nowotworów, smog w powietrzu wpływa na objawy POChP oraz alergii, a także infekcje dolnych i górnych dróg oddechowych.

Ale faktycznie, smog może też skutkować zastrzeżeniem się objawów chorób już istniejących u pacjentów w trakcie leczenia. Tak jest w przypadku wspomnianych POChP, astmy i większości przewlekłych chorób układu oddechowego.

– Zanieczyszczenie powietrza jest niebezpieczne już w okresie prenatalnym.

– Wpływ zanieczyszczeń powietrza na zdrowie i życie ludzkie zaznacza się praktycznie od momen-

tu poczęcia. Ekspozycja prenatalna, czyli narażenie na różne szkodliwe czynniki w okresie życia płodowego, jest szczególnie niebezpieczna, gdyż rozwijający się płód jest bardzo wrażliwy na wpływ toksycznych substancji obecnych w środowisku, w tym pyłu zawieszonego oraz wchodzących w jego skład związków z grupy WWA. Wiadomo też, że drobne cząstki pyłu zawieszonego mogą przenikać przez barierę łożyskowo-naczyniową. W najbardziej zanieczyszczonych rejonach Polski wpływ ten jest porównywalny ilościowo do palenia przez ciężarną matkę kilku (nawet 10) papierosów dziennie.

Narażenie ciężarnych na zanieczyszczenia powietrza stanowi jeden z czynników ryzyka wewnątrzmacicznego obumarcia płodu. Nowe badania wskazują, że każde dodatkowe $10 \mu\text{g}/\text{m}^3$ cząstek stałych PM 2,5 w powietrzu może zwiększać ryzyko urodzenia martwego dziecka o ponad 10 proc. Autorzy opracowania opublikowanego niedawno w piśmie „Nature Communications” przeanalizowali medyczne i demograficzne bazy danych ze 137 krajów, aby sprawdzić, jak zanieczyszczenie powietrza wpływa na ryzyko urodzenia martwego dziecka. Informacje na temat 32,5 tys. zdrowych porodów i prawie 14 tys. urodzonych martwych dzieci pokazały kolosalny wpływ jakości powietrza na to zagrożenie. Wzrost stężenia PM 2,5 (przypomnijmy: cząstek stałych o średnicy do 2,5 mikrona) o $10 \mu\text{g}/\text{m}^3$ ma powodować przeciętne zwiększenie ryzyka o 11 proc. Według tych wyników, na ok. 2 mln martwych porodów, 0,8 mln (prawie 40 proc.) było spowodowane zanieczyszczeniem powietrza cząstkami PM 2,5 na poziomie przekraczającym $10 \mu\text{g}/\text{m}^3$.

Zła jakość powietrza zwiększa też ryzyko wcześniactwa oraz hipotrofii, czyli niskiej wagi urodzeniowej noworodków, co z kolei może rzutować na zdrowie człowieka w ciągu całego życia, zwiększając prawdopodobieństwo wystąpienia różnych zaburzeń i problemów zdrowotnych. Jak wskazują badania naukowców z University of Colorado, masa urodzeniowa dziecka może być wprowadzie z powodu zanieczyszczeń obniżona, ale później problemem może stać się waga zbyt duża. Zauważyli oni, że w pierwszych miesiącach życia, dzieci urodzone przez matki oddychające niskiej jakości powietrzem, nienaturalnie szybko przybierają na masie, co wynika głównie z gromadzenia tkanki tłuszczowej. Przyspieszony wzrost masy w tym okresie powiązano już z podwyższonym ryzykiem cukrzycy, chorób serca i problemów z wagą w późniejszym dzieciństwie i wieku nastoletnim.

– W jakim jeszcze stopniu negatywne skutki narażenia na zanieczyszczenie powietrza mogą przenosić się na późniejsze etapy rozwojowe dziecka?

– Negatywny wpływ zanieczyszczeń powietrza na zdrowie ludzkie nie kończy się oczywiście po urodzeniu. Zarówno w przypadku dzieci, młodzieży, jak i osób dorosłych, narażenie na zanieczyszczenia pyłowe i gazowe (dwutlenek azotu, ozon, dwutlenek siarki, tlenek węgla) wiąże się z występowaniem całego spektrum chorób i dolegliwości. Docierające do dolnych partii płuc cząstki pyłu zawieszonego mogą tam wywoływać stres oksydacyjny, a w konsekwencji stan zapalny, który wpływa także na układ krążenia. Najdrobniejsze cząstki pyłu przenikają do krwiobiegu i tą drogą docierają do różnych organów, w tym do mózgu, zakłócając jego prawidłowe funkcjonowanie.

Ekspozycja prenatalna na zanieczyszczenia powietrza przekłada się też na gorszy rozwój i funkcjonowanie w późniejszym wieku zarówno układu nerwowego, jak i układu oddechowego.

Badania prowadzone od początku obecnego stulecia w Krakowie pokazały, że dzieci narażone w okresie prenatalnym na wysokie stężenia zanieczyszczeń miały w wieku pięciu lat iloraz inteligencji IQ niższy średnio o 3,8 punktów niż dzieci z mniej narażonej grupy. Co ważne, utrata 3,8 punktów w skali IQ nie odnosi się do hipotetycznej grupy kontrolnej, żyjącej w idealnie czystym środowisku i zupełnie nienarażonej na związki z grupy WWA lub narażonej jedynie w bardzo nieznacznym stopniu (grupy takiej zresztą nie dałoby się w Polsce łatwo znaleźć, zwłaszcza w Małopolsce czy na Śląsku), tylko do grupy „mniej narażonej”, w której i tak zdarzały się narażenia na wysokie stężenia WWA. W dodatku, na znacznych obszarach naszego kraju stężenia WWA są porównywalne lub wyższe niż w Krakowie, a zatem najprawdopodobniej także i omawiany wpływ ekspozycji prenatalnej na rozwój układu nerwowego jest podobny lub jeszcze silniejszy. Badane w Krakowie dzieci z bardziej narażonej grupy miały też w wieku 5 lat niższe wartości całkowitej pojemności wydechowej płuc, średnio o ok. 100 ml, oraz zapadały na infekcje dróg oddechowych znacznie częściej niż dzieci z grupy mniej narażonej.

Podobne wnioski wynikają z badań m.in. w USA czy na Tajwanie. Wyniki prowadzonych równolegle z krakowskimi badań w Nowym Jorku potwierdzają negatywny wpływ prenatalnej ekspozycji na WWA na inteligencję i – ogólniej – na rozwój psychomotoryczny dziecka. Wykazano związek między wyższym

narażeniem ciężarnych matek na WWA a deficytami koncentracji i uwagi oraz zwiększoną nadpobudliwością, trudnościami z kontrolą emocji oraz gorszymi kompetencjami społecznymi u ich dzieci.

Badanie sprzed końca ubiegłego roku, autorstwa ekspertów z Tajwańskiego Narodowego Szpitala Uniwersyteckiego w Tajpej wskazało, że kontakt matki w czasie ciąży z cząstkami stałymi w powietrzu może opóźniać rozwój zdolności ruchowych dzieci oraz ich rozwój osobowościowo-społeczny. Badanie uwzględniło ponad 17,5 tys. dzieci urodzonych o właściwym czasie i bez żadnych wad wrodzonych. Każdy dodatkowy wzrost stężenia cząstek stałych w powietrzu – działających w czasie drugiego trymestru – o 10 µg/m³ wiązał się z 9-procentowym wzrostem ryzyka opóźnień w rozwoju tzw. dużej motoryki obejmującej obszerne ruchy angażujące całe ciało, czyli na przykład chodzenie czy skakanie.

– A jak zanieczyszczenie powietrza wypada w porównaniu z innymi czynnikami ryzyka, powodującymi choroby układu oddechowego: z paleniem papierosów, uwarunkowaniami genetycznymi, populacyjnymi?

– Wśród niezakaźnych czynników ryzyka największą rolę odgrywa palenie papierosów, zarówno czynne, jak i bierne. Dotyczy to jednakowo papierosów tradycyjnych, jak również modnych ostatnio e-papierosów. Według danych raportu European Lung Foundation w XX wieku z powodu chorób odtytoniowych zmarło ok. 100 mln osób z populacji światowej. Ponadto, znaczący wpływ na kondycję układu oddechowego ma zanieczyszczenie powietrza w miejscu zamieszkania oraz pobytu, w tym w pomieszczeniach.

Do czynników ryzyka należy także zaliczyć ekspozycję zawodową na potencjalnie szkodliwe substancje chemiczne lub pyły oraz ekspozycję prenatalną na palenie przez matkę w okresie ciąży, przebyte przez nią infekcje, spożywane pokarmy czy przyjmowane leki. Jako jeden z istotniejszych czynników ryzyka są określane te związane ze stylem życia, przede wszystkim nadwaga i otyłość powodujące bezdechy nocne. Dużą grupę czynników stanowią czynniki o charakterze genetycznym. Badania z ostatnich lat udowodniły, że można powiązać niektóre geny ze zwiększoną podatnością na występowanie chorób płuc. W tym kontekście wyodrębniono schorzenia monogenowe, których rozwój jest powiązany z mutacją w zakresie pojedynczego genu,

jak na przykład mukowiscydoza, niedobór alfa1-antytetrypsyny czy pierwotna dyskineza rzęsek.

Ponadto, istnieją choroby złożone, w rozwoju których na podatność genetyczną nakładają się inne czynniki. Mam na myśli astmę, POChP, gruźlicę, sarkoidozę czy zator płuc.

– Wspomniane przez Pana badania wykazały, że w polskich miastach o najbardziej zanieczyszczonym powietrzu działanie smogu jest porównywalne do palenia przez jedną osobę kilku papierosów każdego dnia. To trochę podważa sens kampanii i reklam antynikotynowych, skoro i tak jesteśmy biernymi palaczami „z powietrza”.

– Konfrontacja dymu z papierosów z zatrującym polskie miasta smogiem na zasadzie „co gorsze” nie ma większego sensu. Ale faktem jest, że zwalczanie biernego palenia metodą braku tolerancji wobec palących papierosy przypomina jednak walkę z wiatrakami. Dlaczego? Winę ponosi smog. Pokrywająca aglomeracje miejskie trująca mgła powoduje, że zakaz palenia w miejscach publicznych de facto nie ma sensu. Chcąc nie chcąc, z powodu zanieczyszczonego powietrza wszyscy stajemy się mimowolnymi „palaczami”. Miano najgroźniejszego zabójcy w mieszaninie lotnych substancji, jaką stanowi smog, nosi bowiem benzo(a)piren, który jest też jednym z nieślawnych składników dymu papierosowego.

Przez smog z każdym haustem powietrza ciągną się tą rakotwórczą substancją, która do tej pory schowana w zawiniętym w bibułkę tytoniu, staje się teraz niestety wszechobecna, bo przecież wszyscy musimy oddychać. Oddychając miejskim powietrzem, „wypalamy” codziennie nawet kilka papierosów, nawet gdy nie jesteśmy aktywnymi palaczami. I tak według kalkulatora zamieszczonego na stronie Polskiego Alarmu Smogowego, przebywając na zewnątrz 1 godzinę, wdychamy ilość benzo(a)pirenu równoznaczną w Krakowie – 10 wypalonych papierosom dziennie, Katowicach – 7, Wrocławiu – 5 a Warszawie – 4. Benzo(a)piren nie jest oczywiście jedynym wspólnym mianownikiem dymu z papierosów i smogu. Dwutlenek węgla czy tlenki azotu również spajają te dwa światy. W skład dymu tytoniowego i zanieczyszczonego powietrza wchodzi, licząc osobno, około 5 tys. związków chemicznych, w tym ponad 40 czynników rakotwórczych oraz szereg związków toksycznych.

Skutki zdrowotne również nie różnią się zbytnio w obu przypadkach. Długotrwale wdychanie smo-

gu, tak samo jak palenie papierosów, prowadzi do przewlekłych chorób układu oddechowego i układu krążenia. Oczywiście zwiększa też prawdopodobieństwo wystąpienia raka płuc, najbardziej znanej choroby w katalogu schorzeń wielbicieli wyrobów tytoniowych. Różnica dotyczy poziomu ryzyka. U czynnego palacza jest ono wyższe, ale zatrute powietrze goni pod tym względem, powodując zagrożenie porównywalne z biernym paleniem.

– Z drugiej strony, czy nie mamy jednak do czynienia trochę z bagatelizowaniem negatywnego wpływu smogu na choroby układu oddechowego? Często przytaczana jest teza, że ryzyko zachorowania na raka płuc, związane z wieloletnim narażeniem na zanieczyszczenia powietrza, jest zazwyczaj mniejsze niż ryzyko związane z wieloletnim paleniem tytoniu.

– Według danych Ministerstwa Zdrowia palenie papierosów zabija rocznie 67 tys. Polaków. Jak podaje inicjatywa Polski Alarm Smogowy, z powodu smogu co roku umiera przedwcześnie 45 tys. Polaków. Różnicę widać, ale wnikając głębiej w materię, łatwo dojść do wniosku, że palacze tytoniu i palacze „smogowi” w gruncie rzeczy jadą na tym samym wózku.

Z danych Światowej Organizacji Zdrowia wynika, że oddychanie mocno zanieczyszczonym powietrzem jest podobnie szkodliwe do nałogowego palenia papierosów. W ciągu roku z powodu smogu rejestrujemy blisko 8,8 mln zgonów, podczas gdy liczba umierających nałogowych palaczy to średnio 7,2 mln. Z niemal wszystkich analizowanych przez nas badań wynika, że straty zdrowotne wskutek palenia papierosów i wdychania smogu pozostają na bardzo zbliżonym poziomie. Włoskie badania donoszą, że cząsteczki dymu papierosowego są mniejsze niż 2,5 mikrometra i posiadają zdolność wnikania w pęcherzyki płucne, gdzie związki rakotwórcze czynią najwięcej szkody. Choć w powietrzu utrzymują się bardzo krótko, w znaczącym stopniu odbijają się na środowisku i ludzkim zdrowiu. Są również winne powstawaniu szkodliwego smogu fotochemicznego.

Warto jednak zaznaczyć, że palenie papierosów w każdej chwili można porzucić, a wprowadzone już dawno ustawy w znacznym stopniu chronią nas przed jeszcze bardziej szkodliwym biernym paleniem w miejscach publicznych. Tymczasem smog atakuje wszystkich, a walka z nim w Polsce przebie-

ga bardzo wolno. Z jego powodu umiera więcej osób niż na skutek tragicznych zdarzeń drogowych.

– Jak ocenia Pan społeczną znajomość i świadomość zagrożeń zdrowotnych dotyczących chorób układu oddechowego?

– Choroby układu oddechowego z perspektywy epidemiologicznej są w drugiej kolejności po schorzeniach sercowo-naczyniowych. Przy czym coraz poważniejszym problemem zdrowotnym stają się przewlekłe choroby układu oddechowego. Odpowiedzialność za to ponosi zarówno rozległe spopularyzowanie nałogu palenia tytoniu, jak i postępujące zanieczyszczenie środowiska.

Przewlekłe choroby układu oddechowego należą do schorzeń, którym można przeciwdziałać, stosując odpowiednią profilaktykę i promocję zdrowia. Z perspektywy czasu wiadomo, że profilaktyka chorób odtytoniowych powoli, ale jednak przynosi zamierzone skutki, ponieważ wzrasta świadomość Polaków o konsekwencjach prowadzenia anty zdrowotnego stylu życia, czego skutkiem jest zmniejszająca się liczba palaczy tytoniu.

Jednakże społeczeństwo polskie ma bardzo niską świadomość problemu zanieczyszczenia powietrza którym oddycha. Aż 80% osób nie jest w stanie wymienić ani jednej substancji, która w znaczący sposób zanieczyszcza powietrze. Mało tego, około 60% twierdzi, że powietrze, którym oddychamy, jest dobrej lub bardzo dobrej jakości. Niestety, przeczą temu dane – w większości stref, w których ocenia się jakość powietrza, normy dla stężenia pyłu czy rakotwórczego benzo(a)pirenu są znacznie przekroczone. Około połowa Polaków nie jest świadoma, kiedy powietrze staje się znacznie gorszej jakości (jesienią i zimą), w konsekwencji nie wie też, kiedy należy chronić swój organizm przed nadmierną ekspozycją na zanieczyszczenia. Aż 65% Polaków nie czuje się wystarczająco poinformowana o aktualnej jakości powietrza w ich miejscowości, a zarazem 70% osób chciałoby mieć łatwy dostęp do takich informacji i oczekuje, że gminy zaangażują się w ich rozpozszechnianie.

Informacje te powinny być dostępne nie tylko w internecie, ale również w mediach: telewizji, radiu i prasie. Jak pokazują badania, gminy praktycznie nie informują o zanieczyszczeniu powietrza. Duża część z nich uważa, że działania takie nie należą do ich obowiązków. W gminnych kanałach komunikacji (strony www, serwisy społecznościowe, tablice ogłoszeń,



tablice elektroniczne w przestrzeni publicznej) brak jest informacji o zanieczyszczeniu powietrza, jego przyczynach, wpływie na zdrowie czy sposobach ochrony zdrowia w trakcie wysokich stężeń zanieczyszczeń.

A przecież to gminy odpowiedzialne są za wdrażanie działań na rzecz ochrony powietrza. Bez budowania świadomości społecznej wokół problemu smogu, trudno będzie o uzyskanie akceptacji mieszkańców dla działań mających na celu poprawę jakości powietrza, na przykład ograniczeń stosowania paliw do ogrzewania, ograniczeń w ruchu samochodowym. Wojewódzkie i powiatowe centra zarządzania kryzysowego, które zobligowane są do powiadamiania o ryzyku przekroczenia lub przekroczeniu dopuszczalnych stężeń zanieczyszczeń, w większości przypadków nie traktują zanieczyszczenia powietrza jako poważnego zagrożenia. Informacje o wysokim zanieczyszczeniu powietrza często nie docierają tam, gdzie powinny, a więc do przedszkoli, szkół, mediów czy szpitali. Status informacji o zanieczyszczeniu powietrza w systemie zarządzania kryzysowego wciąż pozostaje niski.

O ile w ostatnich latach liczba zgonów i zapadalność na choroby krążenia uległa zmniejszeniu, a zapadalność na nowotwory ustabilizowała się, o tyle zapadalność na choroby obturacyjne układu oddechowego gwałtownie wzrasta. Stawia to przed światem medycznym poważne wyzwania upowszechniania i stosowania działań profilaktycznych w celu ograniczenia zapadalności na choroby układu oddechowego.

– Dziękuję za rozmowę.

Winicjusz Schulz

Duch i materia

Słyszysz się często: w Toruniu wystarczy dobrze wbić łopatę w ziemię, by w okolicach starówki natknąć się na materialne ślady przeszłości miasta. Jednych to cieszy, ale dla inwestorów to istna klątwa. Raz po raz mamy „problemy” z taką bogatą przeszłością. I spory! Nie tak dawno takim miejscem wywołującym zarówno naukowe, ale także bardzo emocjonalne polemiki był rejon przyległy do toruńskich bulwarów u wylotu ul. Ducha Świętego.

Także portale społecznościowe pełne były komentarzy, sporów, w których często górę brały nie tyle wiedza fachowa, co emocje. Dobrze, że tematem tym szerzej zajmują się teraz naukowcy z UMK. Jest to możliwe głównie dzięki porozumieniu między prezydentem Torunia a rektorem UMK w sprawie wspólnych działań dotyczących badań naszego miasta i tegorocznej dotacji na prace wykopaliskowe.

Co zrobiono? Jakie prace badawcze są planowane? Informacje na ten temat uzyskaliśmy od prof. Wojciecha Chudziaka, dyrektora Instytutu Archeologii UMK.

Dotychczasowe prace prowadzone w roku ubiegłym i 2024 roku miały charakter badań ratowniczych. Te obecne mają mieć charakter „stacjonarny i systematyczny” i pozwolą lepiej poznać oraz określić wartość archeologiczno-historyczną reliktyw kompleksu sakralnego Ducha Świętego. Jak to określono w programie badań: „Głównym ich celem powinno być odślonięcie, zadokumentowanie i zabezpieczenie pozostałości kompleksu Ducha Świętego, ich naukowa analiza i interpretacja w kontekście aktualnej wiedzy historycznej i przyrodniczej, jak również określenie zasad ochrony i sposobów uspołecznienia, ewentualnie ekspozycji tego miejsca”. W dokumencie tym podkreślono też, że „prace



Fot. Winicjusz Schulz

takie są konieczne z uwagi na wartość historyczną i naukową tego miejsca, bezcenną z punktu widzenia historii nie tylko Torunia, ale Zakonu Krzyżackiego w Prusach. Relikty ww. kompleksu sakralnego znajdują się w strefie buforowej Zespołu Staromiejskiego wpisanego na listę światowego dziedzictwa UNESCO oraz w granicach Pomnika Historii (pisownia oryginalna)”.

Prace realizowane będą we współpracy z Zespołem do Badań Średniowiecznego i Nowożytnego Torunia, zaś instytucjonalnie za ich przebieg ma być odpowiedzialne Uniwersyteckie Centrum Archeologii Średniowiecza i Nowożytności działające – jak to określono – w ścisłym porozumieniu z Instytutem Archeologii UMK oraz Muzeum Okręgowym w Toruniu.

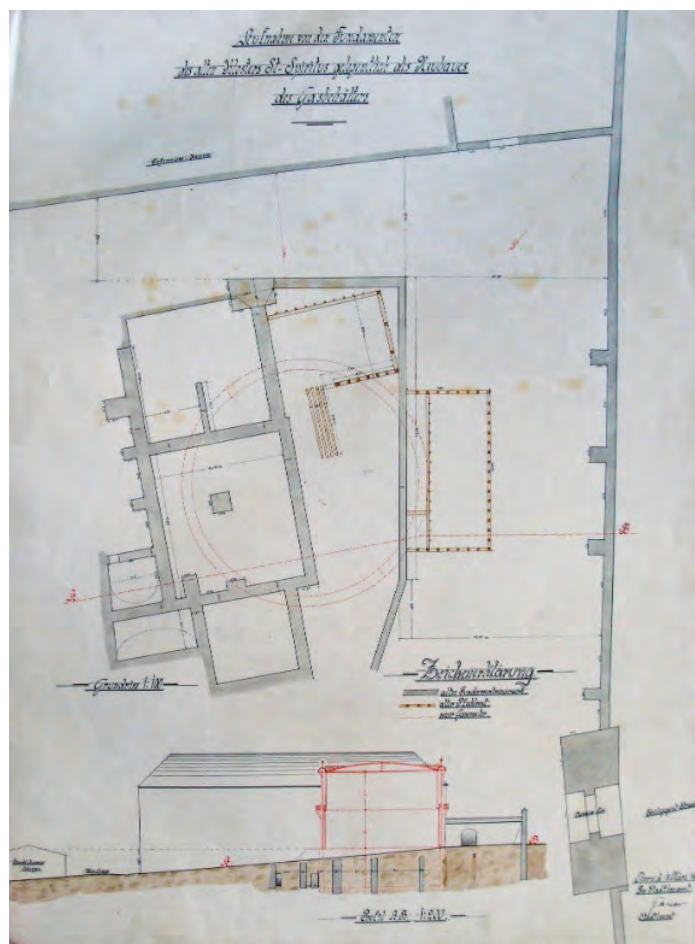
Badania mają charakter interdyscyplinarny i obejmują obszar dawnego kościoła oraz klasztoru Ducha Świętego w obrębie tak zwanej toruńskiej dzielnicy portowej. Z punktu widzenia historycznego naukowcy przyjrzą się kilku wiekom dziejów tego miejsca – od lokacji miasta, budowy w tym miejscu pierwszego kościoła i szpitala, nadania go benedyktynom w 1311 roku po zniszczenie kompleksu przez Szwedów w 1655 roku.

Naukowcy postarają się odtworzyć układ przestrzenny całego kompleksu, etapy jego rozwoju, potwierdzić informacje na temat tzw. socjotopografii kompleksu klasztornej i takich jego elementów jak łaźnia, klasztor, kuchnia, piwnica, kapitułarz, infirmeria (sala przeznaczona dla chorych – przyp. W.S.), ogród, studnia, cmentarz itd. Weryfikacji poddany będzie układ przestrzenny świątyni. Wiadomo na przykład, że w 1417 roku poszerzono bryłę kościoła o chór.

– Na podstawie odkryć w rejonie Bramy Klasztornej sądzimy, że zachowane zostały zarówno pozostałości zabudowy murowanej, jak i drewnianej pochodzącej również z najstarszej fazy budowy kompleksu Ducha Świętego. Dzięki badaniom dendrochronologicznym przeprowadzonym przez prof. M. Krąpca wiemy obecnie, że teren ten zabudowany został już na początku 2 połowy XIII wieku – stwierdza prof. Wojciech Chudziak. – Odrębnym zagadnieniem będą studia nad populacją osób pochowanych na terenie zespołu klasztornej. Wyniki badań uzyskane w 2024 roku w wykopie przy Bramie Klasztornej wskazują na istnienie w tym miejscu wielofazowego cmentarza. Przedmiotem naszego rozpoznania będzie również dostępna badaniu część nekropolii omawianego zespołu sakralnego



Wycinek z ikonografii z 1 poł. XVII wieku obrazujący zabudowę kompleksu Ducha Świętego



w celu ustalenia jej chronologii i faz użytkowania, formy grobów, wyposażenia, układu przestrzennego. Badania antropologiczne pozwolą na określenie wieku zmarłych, płci, stanu zdrowia, pochodzenia i statusu zmarłych, jak również potencjalnej przyczyny zgonu.

Naukowcy zwracają uwagę, że mamy do czynienia z zespołem architektonicznym, który został zniszczony, a sam teren uległ takim przeobrażeniom, że na powierzchni nie ma jakichkolwiek pozostałości dawnych obiektów. To wszystko sprawiało, że niejednokrotnie powątpiewano w istnienie w tym miejscu jakichkolwiek reliktyw przeszłości. Co w tym miejscu było? Pewnymi podpowiedziami są sztych Jakuba Hoffmanna z 1631 roku oraz tzw. plan Meriana z 1641 roku. Wiadomo, że budynki zniszczyli Szwedzi we wspomnianym już 1655 roku.

Na tym losy tego miejsca się nie kończą. Potem pojawiły się w tym miejscu domy czynszowe, a w rejonie dawnego kościoła wybudowano kaplicę, browar i karczmę. I znów w dzieje tego miejsca brutalnie wkraczają Szwedzi – jest rok 1703, trwa wojna północna, Toruń jest oblężony. To, co stoi na miejscu dawnego kompleksu Ducha Świętego, znów

jest zniszczone. Po 1809 roku, w związku z budową twierdzy Toruń, wszystko, co było jeszcze w tym miejscu, zostało zburzone.

Od czasu do czasu powracała pamięć o tym kompleksie, jego dawnych mieszkańców – choćby za sprawą inwestycji. Na przykład w 1893 roku w „Gazecie Toruńskiej” ukazała się wzmianka o wydobytych tu ludzkich kościach. W 1907 roku temat powrócił, gdy budowano tu zbiornik na gaz. Nawet dokonano inwentaryzacji niektórych elementów architektury, ale równocześnie rozebrano znaczną część murów kościoła.

Przy okazji badań nad kompleksem Ducha Świętego toruńscy naukowcy postarają się też przyjrzeć reliktom dawnego toruńskiego portu.

Wykopiska mają być prowadzone na terenie pomiędzy dawnymi Koszarami Racławickimi (dziś Hotel Bulwar), krawędzią nowej jezdni, drogą wzdłuż murów miejskich od Bramy Klasztornej (z wyłączeniem dawnej gazowni). Łącznie to około 21 arów, choć wykopy zgodnie z programem obejmą powierzchnię co najwyżej około 5–6 arów. Prace będą wykonywane wieloetapowo. Poprzedzanie prac ziemnych tzw. badaniami bezinwazyjnymi nie



Fot. Winicjusz Schulz

ma sensu. Zbyt wiele jest w tym miejscu rzeczy, choćby infrastruktura energetyczna, kanalizacyjna, by badania te mogły być miarodajne.

Prace prowadzić będą naukowcy i studenci, wspierani przez pracowników fizycznych. Nie wyklucza się (choć w ograniczonym zakresie) użycia ciężkiego sprzętu. Archeolodzy sugerują, że dobrym pomysłem mogłoby być ustawienie w okolicach ogrodzonego placu banneru z ikonografią kompleksu Ducha Świętego, uświadamiającą mieszkańcom Torunia i turystom rangę tego miejsca 400 lat temu.

Archeolodzy mieli rozpocząć badania na początku lipca. Niestety przedłużające się formalności związane z uzyskaniem od Kujawsko-Pomorskiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków decyzji zezwalającej na badania sprawiają, że przewidziany harmonogram prac będzie trzeba zmienić i część prac wykopaliskowych wykonać dopiero w przyszłym roku.

A co po zakończeniu prac terenowych? Prof. Chudziak informuje, że wszystkie materiały źródłowe zostaną poddane skrupulatnym analizom specjalistycznym i opracowaniom. Powstaną publikacje zarówno naukowe, jak i popularnonaukowe uspołeczniające wiedzę o tym niezwykłym miejscu. A relikty architektury? W zależności od stanu ich



Lokalizacja wstępnie zaplanowanych na 2024 r. wykopów archeologicznych

zachowania podjęta będzie musiała być decyzja, czy możliwa jest stała ekspozycja odstoniętych murów w formie rezerwatu archeologicznego, chociażby podobnego do tego pod płytą Rynku Głównego w Krakowie. Tu zadecydują jednak względy konserwatorskie i polityka miasta.

Ilustracje udostępnione przez Instytut Archeologii UMK



Fot. Winicjusz Schulz

jazz festival

24

Od Nowa

KUJAWY I POMORZE

16-19 października 2024
ACKiS Od Nowa, Toruń

16 października, środa, godz. 20.00, Od Nowa
andrzej jagodziński trio (pl)
bloto (pl)

17 października, czwartek, godz. 20.00, Od Nowa
øyvind mathisen trio (nor/pl)
jerzy małek IQ project (pl/usa)

18 października, piątek, godz. 20.00, Od Nowa
orzechowski • więcek (pl)
tomasz chyła quintet feat. kebbi williams (pl/usa)

19 października, sobota, godz. 20.00, Aula UMK
piotr wojtasik quintet
feat. **anna maria jopek** (pl)

19 października, sobota, godz. 22.00, Od Nowa
nocne jazz session

www.jazz.umk.pl

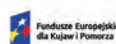
W czasie festiwalu czynna będzie wystawa plakatów i grafik Moniki Bojarskiej „Nie tylko jazz”
bilety i karnety: EmpikBilety.pl, w aplikacji Going., Od Nowa (ul. Gagarina 37a) informacje: jazz@umk.pl



Partnerzy Główni:
Samorząd Województwa
Kujawsko-Pomorskiego



Partnerem głównym wydarzenia jest:
Samorząd Województwa
Kujawsko-Pomorskiego



PATRONAT MEDIALNY



Marek Jurgowiak

Funk – życie, witaminy, naukowe niepokoje...

Wielu wybitnych uczonych pracując poza granicami Polski, dokonywało fundamentalnych odkryć i miało swój udział w kształceniu i inspirowaniu do twórczej aktywności nowych pokoleń ludzi nauki. Należał do tego grona Kazimierz Funk, którego osiągnięcia, stanowiły o przełomie nie tylko w biochemii, ale także szeroko pojętych naukach medycznych. To bowiem twórca nauki o... witaminach, wszechobecnych w naszej codzienności, a jednocześnie nadal, po upływie stu lat, słabo poznanych molekuł wpisanych w fenomen biologii życia.

Jeśli przyjąć powszechnie akceptowaną maksymę, iż o przełomowych osiągnięciach nauki i dziełach stanowiących o postępie cywilizacyjnym ludzkości wiemy częstokroć znacznie więcej niż o ich twórcach, to sylwetka odkrywcy, uczonego i myśliciela Kazimierza Funka właśnie jest tego znakomitą przykładem. Pojęciem witaminy posługujemy się wszyscy czasem z nadmierną nawet niepoprawnością, a tylko niewielkie grono specjalistów, czy też studentów kierunków medycznych „to pojęcie” wiąże z jego twórcą – biochemikiem, którego nazwisko brzmi Kazimierz (Casimir) Funk.

Obecnie definiujemy witaminy jako organiczne, drobnocząsteczkowe składniki diety człowieka, które musimy dostarczać w niewielkich ilościach (pewną ich ilość wytwarzamy w naszym ciele także z udziałem mikroflory bakteryjnej). Generalnie są to substraty do syntezy koenzymów, czynniki antyoksydacyjne oraz regulatory ekspresji genów. Gdy Kazimierz Funk wprowadzał do nauki termin witamina „amina życia” (łac. vita – życie), nie wiedział wówczas, że nazwa ta nie będzie w pełni zasadna, ponieważ niektóre z tych aktywnych biologicznie związków w ogóle nie zawierają grup aminowych (wita-amina), ani nawet azotu. Ale to wiemy po upływie ponad już stu lat badań nad witaminami. Zapotrzebowanie na witaminy współczesna nauka potrafi już dość precyzyjnie sformułować, choć to zależy w dużej mierze od płci, wieku masy ciała, sposobu odżywiania i podlega także geograficznemu różnicowaniu. Mniejsze będzie bowiem zapotrzebowanie



na suplementowaną witaminę D w przypadku człowieka o jasnej karnacji przebywającego w obszarach silnego nasłonecznienia czy witaminę C dla ludzi żyjących w obszarach codziennego dostępu w diecie bogatych w tę witaminę owoców takich jak marakuja, papaja, kiwi. W poszczególnych częściach świata i krajach są zalecane określone dawki dobowe poszczególnych witamin. A wiele z tych związków chemicznych i ich pochodnych robi furorę poprzez promowanie w dietetyce, profilaktyce zdrowotnej, kosmologii i medycynie.

Wróćmy jednak do początku XX wieku i jednocześnie historii odkrycia witamin, a ta wydaje się ginać dziś w mrokach historii świata i naszej cywilizacji. Bez wątpienia należy zacząć od faktu, że twórcą pojęcia witamina jest Kazimierz (Casimir) Funk (1884–1967) – polski biochemik, pracujący przez większą część swojego życia poza granicami kraju, ale zawsze podkreślający swoją polskość.



Kazimierz (Casimir) Funk urodził się 23 lutego 1884 r. w Warszawie. W swoim długim życiu (zmarł, dożywając wieku 83 lat) współpracował z wieloma ośrodkami i zespołami naukowymi w wielu zakątkach Europy i w USA, a to ostatecznie przyczyniło się do dokonania przełomowego w jego karierze i przynoszącego mu nieśmiertelność w świecie naukowym, odkrycia.

Urodzony w rodzinie lekarskiej Kazimierz był bardzo uzdolnionym dzieckiem i od najmłodszych lat interesował się światem nauki. W roku 1900 zdał maturę, a już po czterech latach w 1904 r. jako dwudziestolatek uzyskał stopień naukowy doktora.

Po maturze w wieku 16 lat wyjechał na studia do Genewy i Berna (Szwajcaria). W Genewie Funk studiował biologię, a wśród jego mistrzów – nauczycieli tego okresu należy wymienić botanika Roberta Hippolyte Chodata. W Bernie młody adept nauki podjął studia chemiczne (3 lata), a nauczycielem, wykładowcą chemii organicznej był tam Stanisław Kostanecki (1860–1910) zajmujący się badaniami nad barwnikami roślinnymi, pod opieką którego Kazimierz w roku 1904 uzyskał, mając tylko 20 lat, stopień naukowy doktora. Co ciekawe już podczas pobytu w Bernie młody naukowiec miał okazję i podjął współpracę z wybitnymi lekarzami naukowcami, takimi jak chirurg Emil Kocher, dermatolog Josef Jadassohn czy fizjolog Hugo Kroncker, co świadczy o rozległych zainteresowaniach, wówczas jeszcze, naukowca u progu kariery badawczej. W tym samym jeszcze roku Funk przeniósł się do Paryża (1904–1906), a następnie do Berli-

na – wówczas jednego z najważniejszych ośrodków naukowych Europy. W Berlinie Kazimierz podjął współpracę z Hermannem Emilem Fischerem, skoncentrowanym w badaniach między innymi na białkach. W laboratorium Fischera naukowcy zajmowali się metabolizmem białek i szczególnie podjęli się badań nad dwoma aminokwasami, głównie strukturą cysteiny i alaniny. W tym samym czasie Funk podjął płątną pracę biochemika w szpitalu w Wiesbaden, gdzie zajął się badaniami dotyczącymi nowotworów oraz opracował metodę oznaczania pierwiastków śladowych we krwi. W pracach nad nowotworami Funk zwracał uwagę na istnienie związku pożywienia z rozwojem choroby. Wysnuł w wyniku swoich badań przypuszczenie, że w żywności poza tłuszczami, białkami i węglowodanami oraz składnikami mineralnymi obecne są inne nieznanne jeszcze elementy mające kluczowe znaczenie dla wzrostu i funkcjonowania organizmów. Badania te jednak Funk musiał przerwać, na krótko wyjechał do Berlina i w roku 1910 opuścił Niemcy. Wyjechał do Londynu, podejmując pracę w Instytucie Listera.

W Londynie (1910–1915) doktor Funk kontynuował prace badawcze w Instytucie Medycyny Prewencyjnej Listera, publikując artykuł dotyczący dihydroksyfenyloalaniny (znanej jako DOPA), niemniej dość szybko zainteresowania swoje przeniósł na chorobę beri-beri.

W wieku XIX i w początkach XX wieku choroby niedoborowe były powszechne. Należały do nich krzywica, szkorbut, kseroftalmia i właśnie choroba beri-beri. Ta ostatnia stanowiła wielki problem zdrowotny w obszarach tropikalnych, gdzie podstawą pożywienia były oczyszczane produkty bogato skrobiowe takie jak np. ryż. Beri-beri to śmiertelna choroba neurodegeneracyjna szerząca się tam, gdzie podstawą żywienia był właśnie oczyszczany ryż. Brązowy, niełuskany, czyli nieoczyszczony ryż nie był używany, gdyż szybko psuł się w warunkach tropikalnych i był niesmaczny. Podejmowano liczne próby wyjaśnienia przyczyn tej choroby, lecz nie dawały one rezultatu. W 1886 r. fizjolog Cornelius Pekelharing i neurolog Cornelius Winkler z Uniwersytetu w Utrechcie zaproponowali hipotezę, że czynnikiem wywołującym chorobę jest bakteria. Następnie Christiaan Eijkman (późniejszy noblista) uznał, że za rozwój choroby odpowiada mikrobiota jelitowa transformująca pewien składnik ryżu w toksyczną substancję. Przypadkowa obserwacja w toku prowadzonych na zwierzętach badań doko-

nana przez Eijkmana, że podane kurczętom łuski ryżowe wywołały zdrowienie ptaków, skłoniła go do stwierdzenia, że łuski muszą zawierać antidotum na toksynę zawartą w białym ryżu.

W Londynie Kazimierz Funk zapoznał się także z wynikami badań lekarza wojskowego Williama Braddona prowadzonymi nad chorobą beri-beri w krajach tropikalnych. Otóż Braddon obserwował, że ludność żywiąca się brązowym ryżem nie choruje, w porównaniu do grupy żywiącej się ryżem białym. To sprowokowało Funka do podjęcia badań eksperymentalnych na zwierzętach. Zmiana sposobu karmienia ptaków powodowała cofanie się zmian polineuropatycznych u tych zwierząt. Symultaniczne frakcjonowanie otoczki ziaren ryżu pozwoliło Funkowi na wyodrębnienie śladowych ilości niebiałkowej substancji mającej kluczowe znaczenie w prowadzonym eksperymencie. Już w 1911 r. Kazimierz Funk opublikował pracę *Chemical Nature of the Substance Which Cures Polyneuritis in Birds Induced by a Diet of Polished Rice*. Jednak kluczową dla badacza okazała się późniejsza publikacja w *Journal of State Medicine: The Etiology of Deficiency Diseases* z roku 1912, w której po raz pierwszy badacz zastosował nazwę witamina i wprowadził, choć nieco później, to pojęcie do światowego piśmiennictwa.

Przekonanie uczonego, że zidentyfikował związek chemiczny o działaniu profilaktycznym i mający wpływ na procesy życiowe (obecnie wiemy, że szeregi witamin to kofaktory enzymów), zdecydowało, że zaproponował dla tej substancji nazwę witamina. Jednak kierownictwo Instytutu Listera nie akceptowało pomysłu Funka, stąd dopiero w swojej drugiej, przeglądowej publikacji, mógł użyć po raz pierwszy tej nazwy. W artykule z 1912 r. Funk opisał historię odkrycia i izolacji witaminy przeciwdziałającej beri-beri, ale również zwrócił uwagę na rolę innych substancji chemicznych o charakterze witamin w utrzymaniu prawidłowego funkcjonowania organizmu. Podkreślił także rolę zróżnicowanej diety w profilaktyce zdrowia i przeciwdziałaniu chorobom wynikającym z niedoborów żywieniowych. Tym samym był to wielki przełom zarówno w medycynie, jak i naukach o żywieniu. Badacz jednak nigdy sam nie wyizolował czystej postaci opisywanej przez siebie substancji. Niewielka zawartość witaminy w ryżu utrudniała jej wyizolowanie w czystej postaci. Wiadomo było już wówczas, że w tonie otrębów ryżowych może być zawarta teżeczka nowo opisywanej substancji. W roku 1926 Barend Jansen oraz Wilhelm Donath wyizolowali kryształy związku i przed-



stawili wstępnie wzór sumaryczny. Natomiast dopiero 10 lat później w roku 1936 Robert R. Williams przedstawił światu strukturę chemiczną witaminy B1, a także możliwość jej syntezy, co zdecydowało o dostępności witaminy na rynku. W języku polskim witamina B1 to tiamina – związek zawierający siarkę i pierścień pirymidynowy połączony mostkiem metylenowym z pierścieniem tiazolowym.

W tzw. międzyczasie trwały spory w świecie naukowym i medycznym o pierwszeństwo dotyczące autorstwa nazwy witamina, a nawet dotyczące ostatecznej jej pisanej formy. Nie brakowało także sceptyków kwestionujących wartość odkryć Kazimierza Funka. Nawet Sir James Barr, prezes Brytyjskiego Towarzystwa Medycznego, odrzucał początkowo koncepcję istnienia witamin, określając ją jako wytwór wyobraźni.

Na dalsze odkrycia i wprowadzanie kolejnych nazw witamin trzeba było czekać prawie do lat 20. XX wieku i była to dość burzliwa historia. Kazimierz Funk wprawdzie wprowadził do nauki termin „witaminy” i stąd mówi się o uczonego jako ich odkrywcę, niemniej większość prac nad ich chemiczną naturą i funkcjami wykonali już inni badacze. Szczególnie zasługi miał w tych odkryciach Sir Frederick Hop-



kins, który za swoje dokonania otrzymał Nagrodę Nobla, pozostawiając naszego rodaka nieco w tyle. Kazimierz Funk nie został uhonorowany za swoje prace tą najwyższą w świecie nauki nagrodą. Badacz rodem z Polski pracował w Instytucie Listera jeszcze do roku 1915, ale mało sprzyjająca mu atmosfera pracy, mimo osiągniętych przez niego sukcesów, zaważyła na kolejnej zmianie miejsca życia i pracy Kazimierza Funka.

Warto podkreślić, że w roku 1914 niemieckie Wydawnictwo J.F. Bergmann w Wiesbaden opublikowało książkę *Die Vitamine*, zaś w roku 1922 ukazało się angielskie wydanie tej książki *The Vitamines* i ponowne wydanie niemieckie *Die Vitamine* w roku 1924.

Zanim Funk opuścił Londyn i wyjechał tym razem z Europy aż do USA, przez krótki czas pracował jeszcze w Instytucie Badawczym Szpitala Onkologicznego, zajmując się wpływem tiaminy na metabolizm węglowodanów i wpływem diety na rozwój nowotworów. Wkrótce po poślubieniu Alice Denise Schneidesch z pochodzenia Belgijki (mieli córkę Dorianę i syna Iana) w dniu 18 lutego 1915 badacz opuścił Europę, udając się do USA. Pracę naukową kontynuował w Harriman Research Laboratories w Nowym Jorku. Dalsze lata związane były z pracą Kazimierza Funka dla przemysłu, firm chemicznych i farmaceutycznych. Lata te zaowocowały wieloma odkryciami i badaniami, między innymi opracowaniem skutecznego w leczeniu syfilisu Salwarsanu i neo-Salwarsanu czy produkcją syntetycznej adrenaliny i współudziałem w opracowaniu wraz z Harrym Dubinem pierwszego koncentratu witaminowego z wątroby dorsza (witaminy A i D).

W latach 1923–1927 Kazimierz Funk wraz z rodziną rozpoczął czteroletni pobyt i działalność naukową w niepodległej Polsce.

W 1918 r. powstał PZH (Państwowy Zakład Higieny w Warszawie). Inicjatorem jego powstania był dr Ludwik Rajchman. To on zaproponował Kazimierzowi Funkowi w roku 1923 objęcie funkcji kierownika Oddziału Biochemii i Higieny Odżywiania Państwowej Szkoły Higieny powstałego w obrębie PZH. Było to kolejne szczęśliwe spotkanie obu uczonych. Bowiem to właśnie Ludwik Rajchmann, pracujący wcześniej w Królewskim Instytucie Zdrowia Publicznego w Londynie, namówił Funka w roku 1912 do opublikowania przeglądowego artykułu w *Journal of State Medicine* (był w gronie wydawców pisma), w którym autor po raz pierwszy zastosował w piśmiennictwie naukowym pojęcie „witaminy”.

W ośrodku prowadzonym przez Funka (sam angażował się w prace laboratoryjne) prowadzonych było wiele badań koncentrujących się wokół witamin, głównie z grupy B (tiamina, niacyna). Prowadzono badania dotyczące biochemii żywienia, białek, hormonów i enzymów trawiennych (pepsyna, trypsyna). Badania te były kontynuowane z powodzeniem nawet gdy Funk opuścił ponownie Polskę, a w 1930 r. kierownictwo tej jednostki objął doc. Gustaw Szulc (1884–1941), który został dyrektorem PZH.

W Warszawie główną pasją i ważnym zadaniem Funka były badania nad insuliną i wytwarzaniem jej na dużą skalę. To za sprawą uczonego Polska stała się trzecim krajem w Europie (po Danii i Anglii) w którym wydajnie produkowano insulinę (z trzustki bydłowej). Przed tym okresem insulina nie była produkowana w Polsce i sprowadzano ją dla diabeetyków z zagranicy. Działalność i prace Funka przyczyniły się do postępów w dziedzinie diabetologii, której rozwój miał trudne początki na całym świecie. Produkcja insuliny odbywała się w PZH aż do lat 50. XX wieku.

Gdy wygasł kontrakt z PZH, Kazimierz Funk w roku 1927 wraz z rodziną opuścił Polskę. Jedną z przyczyn była zapewne niestabilna w tym okresie sytuacja polityczna i społeczna w kraju i w Europie. Po opuszczeniu polski skierował się do Belgii, a następnie do Francji. W latach 1928–1939 Funk był związany z Paryżem. Nawiązał współpracę z firmą farmaceutyczną House of Gremy, która specjalizowała się w produkcji surowic i szczepionek. Wkrótce jednak wybudował „Casa Biochemica”. Było to własne laboratorium (i dom badacza) dobrze wy-

posażone, w którym swoje zainteresowania Funk skoncentrował na poznaniu działania hormonów płciowych. Udało mu się scharakteryzować właściwości estrogenów i testosteronu oraz wyizolować androsteron. Nadal pracował także nad insuliną oraz czynnikiem antyanemicznym, jak wówczas określano kwas foliowy. Kazimierz Funk w tym okresie podejmował także współpracę z wieloma firmami farmaceutycznymi nad opracowaniem metod produkcji kwasu nikotynowego i nikotynamidu.

Gdy wybuchła II wojna światowa, rodzina Funka, zostawiając cały swój dobytek, opuściła Europę 5 października 1939 r. i udała się do Nowego Jorku. Naukowiec z Polski otrzymał zatrudnienie w U.S. Vitamin Corporation. Resztę życia Funk spędził już w Stanach Zjednoczonych.

Był to nadal bardzo twórczy okres w życiu naukowca, badacza i intelektualisty Funka. Kontynuował prace dotyczące kwasu nikotynowego i nikotynamidu. Zajął się opracowaniem naukowej teorii o wspólnym oddziaływaniu w organizmie witamin i innych składników żywności, w tym składników mineralnych. Uczestniczył w opracowaniu preparatu witaminowo-mineralnego (obecnie to wielki rynek suplementów i leków) o nazwie „Vi-Syneral”. W latach 50. XX wieku nadal zajmował się badaniem przyczyn chorób nowotworowych i związkiem ich rozwoju z niedoborem witamin w żywności. Uczony był wielkim popularyzatorem wiedzy o witaminach.

W 1947 r. w uznaniu dla zasług naukowca polskiego pochodzenia powstała Fundacja Kazimierza Funka dla Badań Medycznych (Kazimierz Funk Foundation for Medical Research). W Fundacji działał aktywnie do 1963 r. Nauce Funk poświęcił całe swoje życie. Aktywność naukowa i dorobek tak istotny dla ludzkości nie spotkał się jednak z uznaniem świata nauki, które skutkowałoby przyznaniem prestiżowej Nagrody Nobla. Należy podkreślić czterokrotną nominację Funka do tej nieotrzymanej nagrody. Dwukrotnie w dziedzinie medycyny lub fizjologii (1914 i 1925) oraz dwukrotnie w dziedzinie chemii (1926 i 1946). Przyznanie Nobla za odkrycia witaminowe od samego początku budziło spore kontrowersje. W roku 1929 Christiaan Eijkman oraz Frederick Hopkins otrzymali tę prestiżową nagrodę. W przypadku obu nazwisk uzasadnienie przyznania nagrody zawierało pojęcie „witamina”. Sam laureat Nobla F. Hopkins oznajmił (zresztą za samym Funkiem), że nie ma prostej odpowiedzi na pytanie: kto jest odkrywcą witamin? Jednocześnie Hopkins przyznał, że Funk otrzymał zbyt mało uznania za swoje



prace nad witaminami. Mimo perypetii związanych z przyznaniem Nagrody Nobla z pominięciem Kazimierza (Casimira) Funka wniósł on ogromny wkład nie tylko w poznanie witamin – biomolekuł życia, ale także w rozwój nauk o żywieniu i w rozwój nowoczesnej medycyny.

Kazimierz Funk zmarł 19 listopada 1967 r. w Nowym Jorku. Mimo wielu osiągnięć na polu nauki, wkładu w odbudowę państwowości II Rzeczypospolitej, wkładu w poznanie otaczającego nas świata i istoty życia biologicznego – kulminacyjnym punktem jego życia zawodowego, ale i wkładem w historię i postęp ludzkości, było poinformowanie przez Funka świata nauki i nas wszystkich o istnieniu witamin.

Kalendarium ekspansji „wędrującego naukowca” (wg Berger S. Pol. J. Food Nutr. Sci. 2013):

- 1884–1900 Warszawa
- 1900–1904 Genewa, Bern
- 1904–1906 Paryż
- 1906–1910 Berlin, Wiesbaden
- 1910–1915 Londyn
- 1915–1923 Nowy Jork
- 1923–1927 Warszawa
- 1927–1939 Paryż
- 1939–1967 Nowy Jork.



Dr n. med. Marek Jurgowiak — Katedra Biochemii Klinicznej, Wydział Farmaceutyczny Collegium Medicum UMK



Współczesne wyzwania dla promocji

Z dr. Bartłomiejem Oleszkiem, kierownikiem Działu Promocji i Komunikacji UMK, rozmawia Wojciech Streich

Fot. Andrzej Romański

– Wygrał Pan konkurs na szefa naszej uczelnianej promocji pod koniec 2022 roku. Z jakimi ideami i pomysłami obejmował Pan to stanowisko?

– Byłem świadomy skali zadań Działu Promocji i Komunikacji i zakładałem ich pełną oraz twórczą kontynuację na wszystkich polach. Dodam, że to spektrum jest bardzo szerokie: począwszy od Portalu Informacyjnego UMK, wszystkich ogólnouniwersyteckich mediów społecznościowych, telewizji uniwersyteckiej, fotografii, identyfikacji graficznej, Programu Absolwenckiego, targów i dni otwartych, wydarzeń popularyzujących naukę (z Toruńskim Festiwalem Nauki i Sztuki na czele), aż do produkcji i dystrybucji materiałów promocyjnych i licznych – internetowych oraz outdoorowych – kampanii krajowych i europejskich (w tym w ramach konsorcjów YUFE i YERUN).

Ten czas minął mi błyskawicznie, przede wszystkim w codziennej pracy z fantastycznym zespołem, ale też pod znakiem realizacji największych projektów: kampanii prorekrutacyjnych, wydarzeń w ramach 550. rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika ze Światowym Kongresem Kopernikańskim i – aktualnie – przygotowań do nadchodzących obchodów jubileuszowych.

– W swojej pracy naukowej zajmował się Pan teatrem. Na ile badania kulturoznawcze przydają się w promowaniu tak specyficznej instytucji, jaką jest uniwersytet?

– Naukowo, obok form artystycznych, zajmowały mnie głównie współczesne media i przemiany nowomediálne, więc to bardzo przydatna i ważna wiedza w kreowaniu komunikacji i budowaniu kam-

panii reklamowych. Szczególnie tych, których grupą docelową są pokolenia cyfrowe – generacje ekspresowej i zmediatyzowanej komunikacji.

– Gdy w 2022 roku otwierano nową siedzibę Działu Promocji i Komunikacji przy ulicy Reja 25, prorektor prof. Włodzimierz Jaskólski powiedział, że celowo zostaje zmieniona poprzednia nazwa, w której słowo „informacja” zastępuje „komunikacja”, gdyż „nie zawsze doceniano jej znaczenie”. Co zmieniło się w tym zakresie od tego czasu?

– Zmiana wpisywała się w cele Strategii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika na lata 2021–2026 i dla nas była wyznacznikiem do jakościowej pracy nad komunikacją i jej kanałami. Docenieniem tych starań jest dla nas niedawna nagroda dla Portalu Informacyjnego UMK, który otrzymał wyróżnienie w tegorocznej edycji konkursu Nagród Stowarzyszenia PR i Promocji Uczelni Polskich „PRom”, w którym nagradzane są najlepsze uczelniane inicjatywy w zakresie komunikacji i promocji. Wyróżnienie Kapituła Konkursu przyznała za „nowy, oryginalny pomysł i nowatorskie rozwiązania, za «opowiadanie» o osiągnięciach toruńskich naukowców i życiu uczelni, za realizację celu, by pisać i opowiadać o nauce przez wielkie «N» w sposób rzetelny i wnikliwy, ale też przejrzysty, przystępny i zrozumiały, za siłę oddziaływania i skuteczność”. To duży sukces zespołu redakcyjnego, który pracował nad tym projektem przez ostatnie lata.

„Komunikacja” w odróżnieniu od „informacji” zakłada większą otwartość. W aspekcie komunikacji wewnętrznej znajduje to odzwierciedlenie na przykład w rozwoju naszej współpracy z wydziałowymi pełnomocnikami ds. promocji i koordynatorami Toruńskiego Festiwalu Nauki i Sztuki, co zaowocowało m.in. organizacją Dnia na UMK, sprzyjało przepływowi pomysłów, informacji, wspólnych działań. Komunikacja w wydaniu zewnętrznym to na przykład rozwój relacji ze szkołami i nauczycielami, mediami (np. tworzenie „Bazy ekspertów UMK”) czy popularyzacja nauki, w której pomagamy w bezpośrednim spotkaniu naukowców z osobami spoza Uniwersytetu i sprawiamy, że nauka, czyli rzetelna wiedza, w dobie wszechobecnej dezinformacji, ma szansę przeniknąć głębiej i skuteczniej do społecznej świadomości.

– W latach 2010–2019 liczba studentów z 1 841 000. spadła w naszym kraju do 1 204 000, po

czym w roku 2020 odnotowano niewielki wzrost do 1 218 000. Niestety, zaobserwowano w ostatnich dziewięciu latach systematyczny spadek absolwentów i trend ten się utrzymuje. Jak Pan tłumaczy to zjawisko i jak powinna nasza Uczelnia do niego się przygotować? A może jeszcze inaczej: jak powinniśmy wyprzedzać tak niekorzystne zjawiska?

– To złożone zjawisko, demograficznie i społecznie, ale – i na tym się skupię – także promocyjnie. Debatowaliśmy nad tymi zmianami wraz z innymi działami promocji w całej Polsce na konferencjach stowarzyszenia PROM. I choć szczegóły ruchów kampanijnych i taktyk są różne, to jedno było pewne dla wszystkich: dla nas to okres wysokiego zaangażowania i intensywnych, w zasadzie ciągłych, kampanii zewnętrznych i wewnętrznych (szczególnie ważnych wobec zjawiska drop-outu). Ich celem jest nie tylko prezentacja oferty edukacyjnej czy podkreślenie przewag konkurencyjnych uczelni, ale także przywrócenie w młodych ludziach przekonania, że warto studiować, pogłębiać wiedzę, zyskiwać nowe horyzonty, rozwijać się wszechstronnie i że nasza uczelnia jest najlepszym miejscem, żeby to robić.

– O promowaniu uczelni napisano już sporo prac i artykułów (także w „Głosie Uczelni”). Jakie są nowe trendy w tym zakresie w Europie i Polsce?

– Nasze doświadczenia – choćby w EUPRIO (European Association of Communication Professionals in Higher Education), w którym uczestniczymy – wskazują na kilka istotnych tendencji. Po pierwsze ostatnie lata i doświadczenia pandemiczne oraz wojenne podkreśliły wagę komunikacji kryzysowej. Konieczność opracowania strategii i planów, form oraz tonu informowania o stanach zagrożenia. Po drugie, promocja uniwersytecka, jak i cała nasza branża, mierzy się z wyzwaniem sztucznej inteligencji. Generatywne AI bardzo agresywnie wkroczyło w sektor kreatywny i rodzi wiele koniecznych do ustalenia wątpliwości autorsko-prawnych. Kolejne to ciągły prymat mediów społecznościowych z TikTokiem jako medium dominującym i zmieniającym formaty wideo. Wreszcie świadomość działań w zakresie produkcji materiałów: od ekologicznych produktów, upcyklingu, ograniczeń druków i kampanii niskoemisyjnych. Myślę, że to najważniejsze z nich, które także sukcesywnie wdrażamy na UMK.

– **Widziałem w wielu uczelniach zachodnich (w Hiszpanii, Niemczech, Holandii, Wielkiej Brytanii, Kanadzie) działy lub centra promocyjne. Wyraźnie zmniejszyliśmy dystans, jaki nas dzielił do nich przed laty, lecz ciągle chyba jeszcze trochę brakuje. Tam jednostki te mają często ogromny wpływ np. na wygląd wewnętrzny i zewnętrzny uczelni, na formy promocji itp. Jak to jest u nas?**

– Jesteśmy komórką uniwersyteckiej administracji i spoczywają na nas liczne bieżące zadania wynikające z funkcjonowania uczelni i jej jednostek. Znow przywołam skalę prac. Rocznie wysyłamy ok. 390 newsletterów i biuletynów, publikujemy ok. 1800 wiadomości na ogólnouniwersyteckich stronach, produkujemy ponad 100 filmów i 150 zestawów zdjęć, nasze magazyny to ponad 20 tys. sztuk różnorodnych gadżetów promocyjnych i ponad 100 nośników reklamowych. Dodam też intensywną działalność Programu Absolwentckiego z blisko 36 tysiącami zrzeszonych absolwentów, licznymi wydarzeniami i poszerzającymi partnerstwami. Oraz Toruński Festiwal Nauki i Sztuki z ponad 100 wydarzeniami i ponad 23 tysiącami uczestników w minionej edycji. Wśród tych licznych projektów wiele jest działań inicjowanych przez władze uczelni, nasz dział oraz społeczność Uniwersytetu.

– **Promowanie przez sport to też ważny element promowania Uniwersytetu. Posiadamy już niezłe zaplecze w postaci stadionów, sal, basenów, siłowni. W jakim zakresie wykorzystujemy ten potencjał i czy przekłada się on na zwiększenie liczby sportowców, którzy mają osiągnięcia? Czy możemy już mówić o pierwszych sukcesach?**

– Najlepszymi ambasadorami sportu akademickiego są nasi studenci-sportowcy. Rozmawiamy tuż po Igrzyskach Olimpijskich w Paryżu, gdzie student UMK Mirosław Ziętarski wywalczył brązowy medal w wioślarskiej rywalizacji czwórek podwójnych. To uczestnik Programu Kariera Dwutorowa

oraz zawodnik AZS UMK Toruń. Zależało nam na pokazaniu jego ścieżki sportowej i naukowej, wykorzystaniu wspomnianego zaplecza i uniwersyteckiej oferty naukowej. Myślę, że takich sukcesów będziemy mieli więcej, patrząc na funkcjonowanie Uniwersyteckiego Centrum Sportowego i na naszą świetną kadrę sportową, choćby w kolarstwie. Na pewno wykorzystamy to promocyjnie.

– **Sądzę, że rozmawiał już Pan z nowymi władzami UMK na temat promowania uczelni. Ekipa rektorska, która objęła władzę 1 września 2024 r., ma ponoć wiele ciekawych pomysłów w tym zakresie. Czy moglibyśmy dowiedzieć się czegoś na ten temat, przynajmniej w ogólnym zarysie?**

– W najbliższym czasie zintensyfikujemy współpracę z miastami, aby wzmocnić naszą obecność w Toruniu i – w ściślejszej współpracy z Działem Promocji i Komunikacji Collegium Medicum – w Bydgoszczy. Chcemy być widoczni w przestrzeni miasta, podczas najważniejszych imprez społeczno-kulturalnych, m.in. poprzez dystrybucję materiałów promocyjnych UMK. Obecnie prowadzimy sprzedaż w Dziale Promocji i Komunikacji UMK przy ul. Reja 25, od niedawna nasze produkty kupić można także w Informacji Turystycznej na Rynku Staromiejskim w Toruniu. Pracujemy nad uruchomieniem sprzedaży internetowej i nowymi punktami dystrybucji. Intensyfikujemy działania popularnonaukowe, organizację i uczestnictwo w targach promocyjnych (we wrześniu gościmy w Auli UMK Salon Maturzystów, odwiedzimy targi w Olsztynie, Poznaniu, Gdańsku). Stale wielką wagę będziemy przywiązywali do mediów społecznościowych i komunikacji wizualnej. To najbliższe plany. Kolejne wyznaczy nam rytm obchodów uniwersyteckich jubileuszy, który to program wkrótce ogłosimy. Przedsmak zobaczyć będzie można podczas jednej z miejskich imprez – 21 września na Bulwarze Fildelfijskim. Serdecznie zapraszam!

– **Dziękuję za rozmowę!**

Przemysław Grudziński

Nowy przekład *Kroniki* Galla Anonima

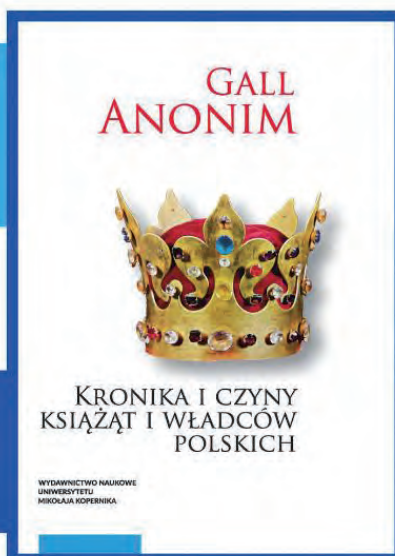
Występuję dzisiaj przed szanownym gronem w podwójnej roli: jako syn historyka, profesora UMK i człowiek w młodości związany z Toruniem i z UMK – moją Alma Mater i miejscem mojej pierwszej pracy w charakterze asystenta na uniwersytecie w Zakładzie prof. Witolda Łukaszewicza oraz jako prywatny detektyw historii rodzinnej, który dzięki publikacji *Kroniki* Galla w przekładzie Ojca dotarł do ważnej dla siebie prawdy. Jest to także przyczynek do historii środowiska naukowego tamtego okresu.

Takie powroty do miasta młodości są zawsze szczególne, a ten jest dla mnie tym bardziej wzruszający, że dzisiejsze spotkanie wieńczy pewien zamysł, o którym opowiem.

Ocenę przekładu Ojca, zasadność publikacji książki, którą mają Państwo przed sobą, zostawiam fachowcom, mediewistom, nowym pokoleniom historyków. Dla mnie jest ona bezcenna. Niezależnie od wszystkiego innego, trzeba, moim zdaniem, uznać za fakt sam w sobie interesujący, publikację przekładu *Kroniki* ukończonego w 1966 r., ponad pół wieku temu, przez autora, który zmarł w listopadzie 2015 r. W tym momencie mija 100 lat od urodzin Ojca w Woli Karczewskiej.

18 czerwca 2024 r. w sali audytoryjnej Biblioteki Uniwersyteckiej w Toruniu odbyło się spotkanie poświęcone nowemu wydaniu *Kroniki* Galla Anonima. W dyskusji o książce udział wzięli: prof. Stanisław Roszak, prof. Piotr Oliński, prof. Przemysław Grudziński i dr Krzysztof Nierzwicki (w roli gospodarza i prowadzącego spotkanie). Wydarzenie zorganizowały jednostki: Wydział Nauk Historycznych UMK, Biblioteka Uniwersytecka UMK i Wydawnictwo Naukowe UMK. Tekst jest skróconym zapisem wystąpienia prof. Przemysława Grudzińskiego w Bibliotece Głównej UMK w czasie spotkania (ML).

Przypomnę pewien fakt, który wstrząsnął moją rodziną i poruszył w owym czasie środowisko Ojca na UMK. Ten fakt to jego decyzja o przejściu na emeryturę w niespotykanym, zaskakującym momencie. Nie znam takiego drugiego przypadku (nie licząc okoliczności zdrowotnych), kiedy profesor zwyczajny, w pełni sił, odchodzi na własne życzenie z Akademii w wieku 61 lat. Ojciec nigdy nikomu nie zdradził swoich motywacji.



Fot. bu.umk.pl

W mojej rodzinie było dwóch historyków: ojciec i syn. Ojciec był profesorem historii średniowiecznej na uniwersytecie, syn poszedł drogą wytyczoną przez Ojca i został w młodości historykiem w zakresie historii najnowszej, dopiero w późniejszych latach zmienił swoje zajęcie. Teraz, kilka lat po śmierci Ojca, ponad 70-letni syn wcielił się ponownie w rolę historyka i interpretatora historii Ojca i zapomnianego przekładu *Kroniki* Galla Anonima.

Ta historia zaczęła się przed prawie dziesięcioma laty, kiedy zacząłem iść po śladach Ojca, aby go zrozumieć. Wtedy nie mogłem już Go o nic zapytać, ale nawet za życia Ojciec nie chciał mówić i nie odpowiadałby mi na wiele moich pytań. Chciałem dotrzeć do sedna sprawy: do przyczyn zmiany w nastawieniu Ojca do ukochanej profesji i w jej następstwie jego decyzji zakończenia uprawiania zawodu historyka mediewisty i jego przedwczesnej rezygnacji z pracy, która była zaskoczeniem również dla najbliższych, zwłaszcza dla mojej matki, oraz wywołała niedowierzanie i zdumienie w uniwersyteckim środowisku. Ojciec był łagodnie pogodzony z losem, zadowolony ze swojej decyzji. Osiągnął coś bezcennego w życiu, największe dobro w oczach starożytnych myślicieli Wschodu i Zachodu – stoicki spokój.

Dla mnie samego w tamtym czasie trudno było zrozumieć wycofanie się Ojca. Sądziłem, że za jego postępowaniem stały jakieś ważne przyczyny i argumenty. Moje przypuszczenia były słuszne. Te tropy doprowadziły mnie dalej, niż zamierzałem: nie tylko do odkrycia tajemnicy Ojca, ale także do skrócenia dystansu, który dzielił nas za jego życia. Sam proces rozwiązywania suptów w życiu Ojca doprowadził mnie do rozsypywania problemów w moich relacjach z rodzicami.

Dopiero po śmierci Ojca, po jego długim życiu (prawie 92 lata) postanowiłem przemyśleć i zbadać wszystkie okoliczności tej tajemniczej sprawy.

Zacytuję fragmenty dwóch notatek z mojego dziennika:

Maszyna mojego ojca, styczeń 2019

Wśród przedmiotów, które odziedziczyłem po niedawno zmarłym Ojcu, znajduje się wyprodukowana w NRD maszyna do pisania Erika. W latach 80. ubiegłego wieku był to pożądany i trudno osiągalny nowoczesny instrument do pisania. Ojciec zdobył ją gdzieś około 1984, w czasie kryzysu i był pewien, że będzie mu dobrze i długo służyć. Tymczasowo mała walizeczka stanęła w kącie obok biurka.

Stukot maszyny do pisania ojca to był akompaniament mojego dzieciństwa, jego melodia. Potem sam pisałem i przepisywałem długie, liczące setki stron, teksty książek na maszynie. Wydaje mi się to dzisiaj tak niemożliwe, jak napisanie książki piórem. W erze komputerów brakuje mi tego rytmicznego stukotu.

Wyjąłem teraz nowiuteńką, chociaż już ponad 30-letnią, Erikę z futerału i wystawiłem na światło dzienne w moim pokoiku na Starych Bielanych. W maszynie tkwiła, zostawiona przez ojca, pożółkła kartka maszynopisu z linijką wystukanych czcionek dla wypróbowania nowego urządzenia. To był jedyny tekst, który na niej powstał. Ojciec wkrótce po zakupie maszyny przeszedł na wczesną emeryturę i zaniechał pisania.

... Dlaczego?

Ogarnęło mnie wzruszenie, kiedy w papierach ojca znalazłem niespodziewanie zakurzony maszynopis nieopublikowanego przekładu Galla. Moja żona Anna przekonała mnie, że to nie przypadek, że ojciec nie zniszczył manuskryptu, mimo że za życia nie chciał nigdy ani powrócić do tej sprawy, ani nawet wspominać o przekładzie *Kroniki*. Jednak ten manuskrypt pozostawił w przetrzebionym archiwum, a zatem powierzył mi jego dalsze losy i pozostawił mi możliwość podjęcia innej decyzji. Uznałem, że ojciec nie będzie mi miał za złe, że podjąłem na nowo sprawę.

Oto jak myślałem przed pięciu laty, gdy zacząłem rozplątywać zagadkę ojca (cytuję fragment blogu *Tajemnica mojego ojca* ze stycznia 2019 r.): „Ojciec mając 50 lat, sporządził bilans życia osobistego i zawodowego «podsumowanie rubryk habet i debet». Swój bilans zawodowy ocenił krytycznie: «Tu na pewno nie zrobiłem tyle, ile mogłem. I to chyba nie z lenistwa. Po prostu zbyt wcześnie uświadomiłem sobie kres własnych możliwości i nietrwałość tego, co robi historyk. Dlatego pracowałem intensywnie tylko wtedy, gdy pasjonował mnie temat i gdy uroki życia nie były zbyt silne. Jak będzie dalej – gdy przestaną one działać i ciągnąć» (zapiska ojca do rozpoczętego, ale niekontynuowanego dziennika z 26.12.1974).

Ten bilans nie oddaje sprawiedliwości sukcesom Ojca jako dydaktyka i bardzo sprawnego dyrektora Instytutu Historii i Archiwistyki UMK (1968–1972). Po zaledwie trzech latach studiów został w 1950 r. zastępcą asystenta i 17 miesięcy później obronił pracę doktorską. Ojciec błyskotliwie zadebiutował jako

młody historyk rozprawą o Bolesławie Szczodrym, która zyskała uznanie w oczach polskich mediewistów. Do tego grona wszedł przebojem, a z zachowanej korespondencji wynika, że robił to całkiem świadomie, budując kontakty z najwybitniejszymi historykami tego czasu (np. z Zygmuntem Wojciechowskim i z historykami z ośrodka krakowskiego). Kariera bezpartyjnego historyka nie była usłana różami, ale Ojciec szybko osiągał kolejne stopnie i tytuły naukowe. W 1980 r. został wybrany na przewodniczącego NSZZ „Solidarność” na UMK. Zrezygnował z tej funkcji po tzw. wypadkach bydgoskich, z powodu postępującej radykalizacji „Solidarności”, co oceniał krytycznie. Sporo satysfakcji przynosiła Ojcu działalność w Radzie Głównej Szkolnictwa Wyższego, gdzie znalazł nowych przyjaciół spoza dotychczasowego kręgu.

Piętrzyły się też przeszkody, stawiane Ojcu przez funkcjonariuszy ustroju w strukturach zarządzających nauką. Konsekwentnie odmawiano Ojcu paszportu na wyjazdy naukowe do RFN (po roku '80 „ze względu na bezpieczeństwo państwa”) i na seminaria papieskie do Włoch. Postawa Ojca była przedmiotem krytyki ze strony rektora W. Łukaszewicza i w latach 80. przez ministra nauki B. Miśkiewicza. Te przykrości to były okoliczności towarzyszące i tło dla decyzji Ojca, ale nie jej zasadniczą przyczyną.

Moja własna teoria dotycząca zagadkowego postępowania Ojca nawiązuje do jego słów o dotarciu do własnych granic w połączeniu z utratą przekonania, że praca historyka nadała jego życiu sens. W połowie kariery spotkał Go dotkliwy cios. Jego zamierzone opus magnum, czyli nowy przekład *Kroniki Galla Anonima*, nie przedostał się gładko przez sito recenzji wydawniczych. Ojciec, który włożył lata pracy w *Kronikę*, nie przyjął uwag recenzentów i zamknął na cztery spusty manuskrypt w biurku. Ojciec nigdy już nie odzyskał równowagi i radości z pracy historyka. Od tego momentu systematycznie oddalał się od swojego środowiska i kolegów. Zajął na długo przed odejściem z UMK stanowisko odrębne i zdystansowane.

W wywiadzie z 2005 r. („Studenckie Zapiski Historyczne”, Zeszyt II) Ojciec powiedział: „*Kronika Galla Anonima* w moim życiu zajmuje szczególne miejsce...”. Na pytanie, czy w jego dorobku pozostały jakieś inedita, Ojciec odparł: „Ze względów osobistych nie zdradzę pani tematu takiej pracy. Powiem tylko, że pracowałem nad nią pięć lat. Ma objętość 600 stron maszynopisu, wstęp, tłumaczenie, komentarze, przypisy rozbudowane (charakterystyczne dla wszystkich

prac naukowych). Zastrzegam sobie wyjaśnienie powodów, dla których ta praca nie znalazła się na rynku wydawniczym. Pragnę podkreślić, że na pewno to dzieło wstrzymało inne możliwe publikacje”.

Dzisiejszy moment jest dla mnie czymś w rodzaju katharsis, zamykającym moje starania w najlepszy możliwy sposób. Zamierzam napisać małą książeczkę o Ojcu, której motywem będzie mój Ojciec i jego *Kronika*.

Zagadka znalazła nieoczekiwane i zaskakujące dla mnie rozwiązanie w ostatnich chwilach przed publikacją książki i znajdą je Szanowni Państwo w aneksie. W tych dwóch listach Ojca do profesora Aleksandra Gieysztora – odnalezionych dzięki staraniom i uprzejmości Panów Profesorów: Piotra Węcowskiego z Uniwersytetu Warszawskiego oraz Piotra Olińskiego z UMK, finalizującego redakcję książki – znajduje się rozwiązanie zagadki.

Ojciec nie zrezygnował z publikacji swojego *Galla* z powodu krytycznych recenzji, nie wycofał się, przeciwnie – walczył do końca o wydanie książki. Przegrał ze względu na niepisane reguły w środowisku, w którym operował. To było dla Niego rozczarowanie i cios, z którym zmagał się do końca życia.

Po tym, co się stało, Ojciec nie był dla siebie jako naukowca sprawiedliwy, osądzał swoje możliwości nader surowo. Motto do tej historii znalazłem w słowach wielkiego pisarza: W. G. Seebalda: „W rzeczywistości historia potoczyła się naturalnie całkiem inaczej, bo zawsze przecież, ilekroć człowiek akurat w najpiękniejszych barwach odmaluje sobie przyszłość, kolejna katastrofa już nadciąga”.

Myślę, że Ojciec uważał swój przekład *Kroniki Galla* za kamień milowy w swojej karierze i przepustkę do ścisłego grona elity polskich mediewistów. Nie dostrzegł możliwości katastrofy, a po niej, już nigdy nie chciał się narażać na następną.

Jeszcze jedna biograficzna uwaga: we wszystkich naszych rozmowach w ostatnich latach życia Ojciec zawsze wspominał lata młodości w Woli Karczewskiej i w Gliniance pod Warszawą i swoją młodzieńczą przygodę w Armii Krajowej. Z dumą wspominał udaną akcję dywersyjną AK wysadzenia niemieckiego pociągu wojskowego w okolicach Glinianki.

I drugi snapshot: Ojciec był przewodniczącym „Solidarności” na UMK od początku do wydarzeń marcowych w Bydgoszczy, które zradykalizowały kierunek działania NSZZ „Solidarność”. Wskutek tej zmiany w kursie związku Ojciec zrezygnował z kierowania uniwersytecką „Solidarnością”. Te dwa

momenty utkwiły mi w pamięci: romantyczna strona Ojca i jego strona racjonalna, oceniająca chłodno argumenty za i przeciw.

Myszę, że warto zapisać także w historii UMK rolę pierwszej generacji naukowców, pierwszych wychowanków wybitnych uczonych ze Lwowa, Poznania i z Wilna. Ojciec był uczniem wybitnych historyków Karola Górskiego i Bronisława Włodarskiego, a do jego znakomitych rówieśników należeli Kazimierz Biskup, Irena Janoszowa, Władysław Serczyk, Kazimierz Jasiński, Andrzej Tomczak. To było wyjątkowe, głodne wiedzy i akademickiego awansu powojenne pokolenie, które zapewniło młodemu uniwersytetowi, na którego patrzono w tradycyjnych ośrodkach uniwersyteckich z wyższością, trwałe miejsce na akademickiej mapie Polski.

Wreszcie doszedłem do najważniejszego punktu, do moich podziękowań. Nie spotkalibyśmy się dzisiaj, gdyby nie życzliwość i wsparcie ze strony Biblioteki Głównej UMK i Wydziału Nauk Historycznych UMK. Projekt został zainicjowany przed ponad 6 laty, pod życzliwymi auspicjami dyrektora Krzysztofa Nierzwickiego i jego najbliższych współpracowników, w szczególności przy pomocy dyrektora Grzegorza Sztura i innych. Na kilku życzliwych spotkaniach w BG UMK projekt nabierał rumieńców. Poparcie i wsparcie wydania *Kroniki* przez

dziekana profesora Stanisława Roszaka i cały Wydział Nauk Historycznych UMK było niezbędnym komponentem na drodze do sukcesu. Dziękuję panu dyrektorowi Instytutu Historii i Archiwistyki prof. Krzysztofowi Mikulskiemu. Wreszcie znakomity pod względem wydawniczym druk w Wydawnictwie Naukowym UMK zwieńczył dzieło. Dziękuję dyrektorowi Tomaszowi Jaroszewskiemu i redaktor Magdalenie Mordawskiej za doskonałą pracę.

W projekt od początku zaangażowało się grono moich przyjaciół: mój profesor ze studiów profesor Janusz Małek i mój kolega ze studiów profesor Kazimierz Maliszewski. O skuteczności tego samozwańczego lobby świadczy dzisiejsze spotkanie. Przyjaciele – byliście fantastyczni. Z wielką przyjemnością odnotowuję obecność uczniów Ojca, w tym moich Koleżanek i Kolegów z roku.

Last but not least, szczególne podziękowania należą się profesorowi Piotrowi Olińskiemu. My dużo gadaliśmy, a profesor Oliński wykonał starannie całą mrówczą pracę edytorską. To on jest współautorem, jak uważam, sukcesu całego przedsięwzięcia.

Prof. Przemysław Grudziński — historyk, dyplomata i urzędnik państwowy

Lubow Żwanko, Dmytro Kibkało

Współpraca naukowa (nie tylko) w czasie wojny: Toruń i Charków

Współpraca pomiędzy uczelniami różnych państw w XXI wieku jest zwykłą, a nawet codzienną, sprawą, gdy środki komunikacji zacierają granice, a podróż między instytucjami zajmuje kilka godzin podróży samolotem. Jednak współpraca wywołuje niekiedy zdumienie – wytrwałością jednych i ofiarną pomocą drugich.

Tak dzieje się w przypadku współpracy środowisk akademickich: polskiego i ukraińskiego w czasie trwającej w Ukrainie wojny. Jednym z takich przykładów jest wspólne działanie jedno-

stek Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu i Państwowego Uniwersytetu Biotechnologicznego w Charkowie, miasta położonego w odległości kilkudziesięciu kilometrów od granicy z Rosją.

Już w tej chwili można zauważyć, że współpraca ta przejawiała się we wspólnych projektach ukierunkowanych na: 1) zachowanie i popularyzację postaci wybitnych polskich naukowców oraz wspólnych ukraińsko-polskich kart historii medycyny weterynaryjnej, 2) wydawanie książek, 3) publikowanie artykułów, 4) organizowanie przedsięwzięć nauko-

wych (m.in. konferencji, wykładów, wystaw). Do ich realizacji po stronie ukraińskiej zostały zaangażowane: Centrum Muzealne oraz Wydział Medycyny Weterynaryjnej Państwowego Uniwersytetu Biotechnologicznego w Charkowie (dalej – PUB), po stronie polskiej – Wydział Sztuk Pięknych, Wydział Nauk Biologicznych i Weterynaryjnych, Wydawnictwo Naukowe oraz Biblioteka Uniwersytecka UMK. Należy zaznaczyć, że rozdzielenie aspektów tej współpracy byłoby skomplikowanym zadaniem, ponieważ w wielu działaniach uczestniczyło jednocześnie kilka jednostek strukturalnych UMK.

Młoda uczelnia z ... ponad 200-letnią tradycją

18 czerwca 2021 r. zgodnie z zarządzeniem Ministerstwa Edukacji i Nauki Ukrainy powołano Państwowy Uniwersytet Biotechniczny w Charkowie. Został on założony w oparciu o wieloletnie osiągnięcia czterech charkowskich uczelni wyższych w dziedzinie rolnictwa i technologii. Jedną z nich była Charkowska Państwowa Akademia Weterynarii i Zootechniki, najstarsza weterynaryjna placówka edukacyjna w Ukrainie.

Jej początki sięgają Katedry Leczenia Zwierząt założonej na Cesarskim Uniwersytecie w Charkowie (1805) oraz dwóch osobnych weterynaryjnych instytucji oświatowych założonych przez polskich profesorów, Karola Wiszniewskiego i Napoleona Halickiego – Praktycznej Szkoły Weterynaryjnej (1839) i Charkowskiej Szkoły Weterynaryjnej (1851). Obecnie spadkobiercą ich tradycji jest Wydział Medycyny Weterynaryjnej, jeden z dziesięciu wydziałów PUB w Charkowie.

Początki współpracy:

Wydział Sztuk Pięknych UMK

Współpraca Wydziału Sztuk Pięknych z Centrum Muzealnym PUB rozpoczęła się w styczniu 2022 r., gdy jego kierowniczką, prof. dr hab. Lubow Żwanko, została stypendystką programu „Polonista” Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej w Warszawie (*Raport z działalności Wydziału Sztuk Pięknych UMK*, s. 40). Przy wsparciu opiekuna naukowego, ówczesnego dziekana wydziału – prof. Joanny Kucharzewskiej (obecnie prorektorki UMK), w okresie od stycznia do lipca 2022 r. został zrealizowany projekt badawczy „Polscy architekci w Charkowie w XIX i na początku XX wieku”.

Przygotowano maszynopis monografii *Polscy architekci w Charkowie (XIX – początek XX wieku): losy,*



Spotkanie z władzami dziekańskimi Wydziału Sztuk Pięknych UMK, luty 2022 r. (z archiwum prof. Lubow Żwanko)

twórczość, spuścizna, a także wykład monograficzny „Kontakty artystyczne między Polską a Ukrainą w XIX–XX wieku” (14 tematów). Dla studentów wydziału zostały wygłoszone następujące wykłady: „Polscy architekci w Charkowie: życie i nurty artystyczne (wiek XIX – początek wieku XX)”, „Charków i polscy artyści: od Augusta Medweja do Mariana Ruzamskiego (wiek XIX – początek wieku XX)”, „Bolesław Cybis (1895–1957). Artysta wygnaniec”.

W okresie od października 2022 do marca 2023 r. prof. Żwanko kontynuowała swój udział w programie „Polonista” (NAWA), uczestnicząc w działalności wydawniczej i promocyjnej WSP, o czym będzie mowa później.

Wydawnictwo Naukowe UMK

i bezprecedensowy projekt ukraińsko-polski

Tuż po wybuchu wojny Uniwersytet Mikołaja Kopernika, przy wsparciu swoich władz i dyrektora Wydawnictwa Naukowego UMK, prof. Mirosława Strzyżewskiego, zrealizował projekt wydawniczy, który był unikatowy w środowisku akademickim Polski. Mowa o publikacji dwujęzycznych książek z utworami klasyków polskiej literatury dziecięcej, skierowanymi do małych Ukraińców, w których życie wkroczyła wojna i którzy byli zmuszeni czasowo przebywać w Polsce. Uczestnikami tego projektu były następujące podmioty: Wydawnictwo Naukowe (redaktor książki: dr Marcin Lutomierski, specja-



Rektor UMK prof. Andrzeja Sokół i prof. Lubow Żwanko podczas czytania wierszyka *Piesek i biedny koteczek*, maj 2022 r. (fot. Andrzej Romański)

lista w Zespole ds. Promocji i Marketingu), Wydział Sztuk Pięknych (grafik: prof. UMK Filip Pręgowski, obecnie dziekan WSP) oraz Centrum Muzealne PUB (tłumaczenie i adaptacja utworów: prof. Lubow Żwanko). Dotychczas opublikowano dwie książki: *Bajki i powiastki dla dzieci. Байки та оповідки для дітей* Stanisława Jachowicza oraz *Twardowski. Твардовський* Kazimierza Wójcickiego.

25 maja 2022 r. JM Rektor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika prof. Andrzej Sokół i prof. Lubow

Żwanko uczestniczyli w nagraniu wspólnego odczytania wierszyka *Piesek i biedny koteczek* z książki Stanisława Jachowicza. Nagranie zostało przygotowane przez Dział Promocji i Komunikacji UMK (<https://art.umk.pl/wiadomosci/?id=26057>).

Wydawnictwo Naukowe (dr Marcin Lutomierski i lic. Joanna Uzdowska) zorganizowało cykl „Polsko-ukraińskich spotkań z bajkami” w Toruniu, Płocku i Rypinie. Podczas nich czytano wiersze (dr Lutomierski i prof. Żwanko), a dzieci z Ukrainy i Polski otrzymywały w prezencie książki. Ponadto publikacje te były prezentowane na Warszawskich Targach Książki, Międzynarodowych Targach Książki w Krakowie, jak również zakupione przez marszałków województw kujawsko-pomorskiego i mazowieckiego, prezydentów miast Torunia, Warszawy i Krakowa, a także wysyłane do wielu miast w Polsce w ramach prezentów dla dzieci ukraińskich uchodźców – z okazji Świąt Bożego Narodzenia oraz Nowego Roku. Te książki to coś więcej niż książki... To przejaw człowieczeństwa w nieludzkich czasach, przejaw wsparcia przez polską wspólnotą ukraińskich uchodźców.

2 marca 2023 r. w Chełmnie, w ramach „Polsko-ukraińskiego spotkania z literaturą i sztuką”, odbyło się otwarcie wystawy „Wybitni Polacy związani z Charkowem” (autor tekstów: prof. L. Żwanko, projekt graficzny: prof. F. Pręgowski). Wydarzenie zorganizowała ówczesna dziekan WSP, prof. Joanna Kucharzewska (obecnie: prorektor UMK) we współpracy z Wydawnictwem Naukowym UMK, Centrum Muzealnym PUB i Muzeum Ziemi Chełmińskiej. Wystawa została umieszczona w Zespole Szkół Ogólnokształcących nr 1 w Chełmnie. W ramach



Polsko-ukraińskie spotkanie z bajkami”, Płock, czerwiec 2022 r. (z archiwum prof. Lubow Żwanko)

spotkania odbyło się, tradycyjnie, głośne odczytanie książki *Bajki i powiastki dla dzieci* z udziałem: prof. Joanny Kucharzewskiej, prof. Lubow Żwanko, dr. Marcina Lutomińskiego i dr. Filipa Pręgowskiego. Ponadto twórcy publikacji podzielili się ciekawymi wspomnieniami z pracy nad przygotowaniem dwujęzycznych publikacji, a następnie wręczyli wszystkim dzieciom i nauczycielom książki.

Per aspera ad astra. Listy Leona Cienkowskiego (1822–1887) – wyjątkowy przejaw wsparcia dla ukraińskich naukowców w okresie wojny

W listopadzie 2022 r. w Wydawnictwie Naukowym ukazała się książka autorstwa pracowników akademickich PUB – prof. Lubow Żwanko i prof. Dmytra Kibkały – *Per aspera ad astra. Listy Leona Cienkowskiego (1822–1887)*, którą autorzy ukończyli dzień przed rozpoczęciem agresji rosyjskiej. Należy dodać, że przygotowanie do druku listów wybitnego naukowca odbyło się w ramach wspólnego projektu charkowskich naukowców oraz Archiwum Polskiej Akademii Nauk w Warszawie. Dzięki wsparciu dyrektora Wydawnictwa, prof. Strzyżewskiego, przy udziale zespołu redakcyjnego (okładka: mgr Tomasz Jaroszewski, redakcja: mgr Katarzyna Czerniejewska, mgr Magdalena Prokopowicz) książka nie tylko ujrzała światło dzienne, ale też trafiła do ogólnoświatowej dystrybucji (<https://wydawnictwo.umk.pl/produkt/per-aspera-ad-astra-listy-leona-cienkowskiego-1822-1887>).

Publikacja ta jest pierwszym w Polsce całościowym opracowaniem poświęconym życiu i działalności naukowej Leona Cienkowskiego (1822–1887), jednego z najwybitniejszych biologów XIX wieku, odkrywcy szczepionki przeciw węglikowi w Europie Wschodniej, nazywanego „ojcem polskiej biologii” i „ukraińskim Pasteurem”. Jego życie to droga *per aspera ad astra* – droga przez trudy i cierpienia do uznania, które zyskał m.in. dzięki genialnemu odkryciu w Charkowskim Instytucie Weterynaryjnym (Żwanko, Kibkała 2023: 16).

Zorganizowano szereg prezentacji książki: w Toruniu, Warszawie, Krakowie, Płocku, Poznaniu i Lublinie – połączonych z sesjami naukowymi i wykładami poświęconymi naukowcowi światowej skali. Wsparcia w prezentowaniu książki udzielili: pracownicy Wydawnictwa Naukowego UMK oraz prof. Jarosław Sobolewski, kierownik Katedry Ochrony Zdrowia Publicznego i Dobrostanu Zwierząt, zastępca dyrektora Instytutu Medycyny Weterynaryjnej Wydziału Nauk Biologicznych i Weterynaryj-



Prezentacja książki *Per aspera ad astra. Listy Leona Cienkowskiego (1822–1887)* w Bibliotece Uniwersyteckiej UMK, marzec 2023 r. (fot. Piotr Kurek)

nych UMK (obecnie prodziekan WNBiW) – jeden z czołowych polskich badaczy w zakresie historii nauk weterynaryjnych. 14 marca 2023 r. prof. Sobolewski prowadził dyskusję o książce w Bibliotece Uniwersyteckiej UMK, a 28 marca 2023 r. – sesję naukową poświęconą postaci Leona Cienkowskiego w Polskiej Akademii Nauk w Warszawie.

Biblioteka Uniwersytecka UMK

Pracownicy Biblioteki Uniwersyteckiej przy wsparciu jej dyrektora, dr. Krzysztofa Nierzwickiego, wspólnie z Instytutem Medycyny Weterynaryjnej, Centrum Muzealnym PUB zorganizowali szereg wydarzeń popularyzujących historii nauki polskiej, m.in. wybitnych Polaków związanych z Charkowem. Na przykład podczas XIX Ogólnopolskiego Tygodnia Bibliotek 10 maja 2022 r. odbyło się spotkanie z prof. Żwanko, autorką prac naukowych z zakresu m.in. historii Polonii w Charkowie. Poprowadził je prof. Maciej Krotofil z Wydziału Nauk Historycznych UMK.

Otwarto dwie wystawy: „Polscy architekci i Charków. Wielogłosy kamiennej melodii” (10 października 2023 r.; wspólnie z Narodowym Instytutem Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą POLONIKA w Warszawie) oraz „200 lat weterynarii polskiej: z Wilna do Torunia przez Charków” (29 listopada 2023 r.). Wydarzenia te odbiły się szerokim echem w prasie i telewizji toruńskiej. Stały się dobrym przykładem popularyzacji wspólnych kart przeszłości Polski i Ukrainy (<https://tvtorun.pl/32838/z-wilna-przez-charkow-do-torunia>).

Obecnie trwają prace nad przygotowaniem kolejnej wystawy – „Wybitni polscy lekarze w Charkowie na przestrzeni wieków”, której inicjatorem jest dyrektor Krzysztof Nierzwicki. Organizatorami wystawy są: Biblioteka Uniwersytecka, Wydawnictwo Naukowe, Collegium Medicum im. Ludwika Rydygiera UMK oraz Centrum Muzealne PUB (autorka wystawy: prof. Lubow Żwanko, redaktor: dr Marcin Lutomierski, grafik: Anna Shmeichel). Wystawa powstaje w ramach obchodów 40-lecia Collegium Medicum UMK w Bydgoszczy, które odbędą się w listopadzie bieżącego roku.

Instytut Medycyny Weterynaryjnej UMK

Istotnym wspólnym projektem Instytutu Medycyny Weterynaryjnej WNBiW, Biblioteki Uniwersyteckiej, Wydawnictwa Naukowego UMK oraz Centrum Muzealnego PUB okazała się wystawa „200 lat weterynarii polskiej: z Wilna do Torunia przez Charków”. Autorką wystawy została prof. Lubow Żwanko, która przebywała w Instytucie Medycyny Weterynaryjnej WNBiW w ramach programu „Polonista” (NAWA) i zrealizowała projekt badawczy „Polacy działacze nauk biologicznych i Charków: wybitne postacie i zapomniane imiona, odrodzenie pamięci i popularyzacja (XIX – początek XX wieku)”, w okresie od października 2023 do września

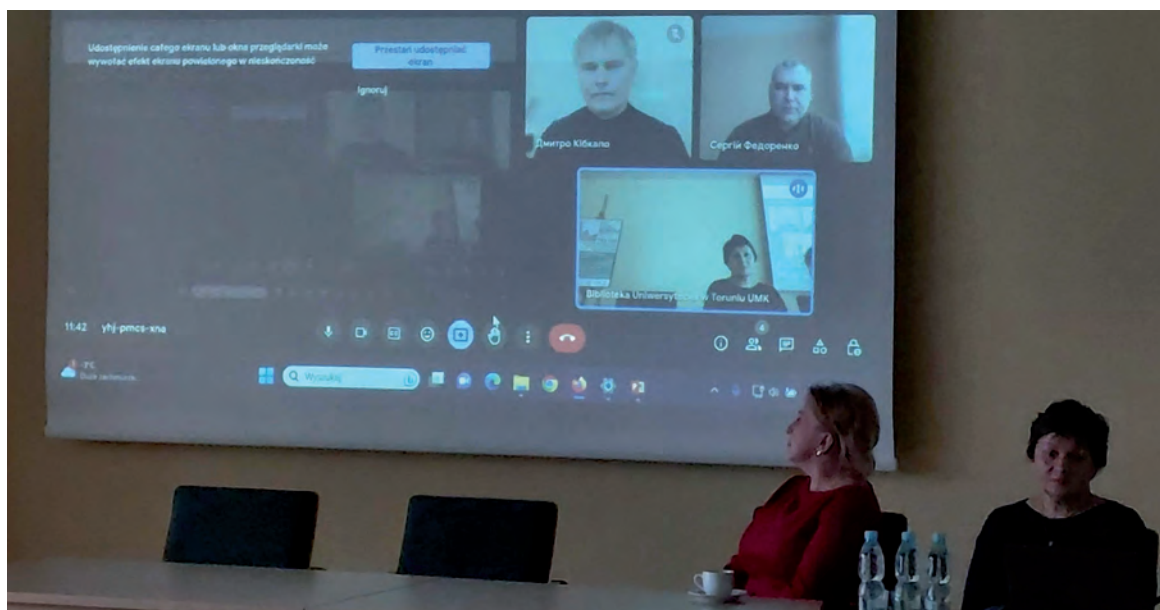
2024 r.). W pracę nad projektem wystawy i katalogu jej towarzyszącym zostali zaangażowani pracownicy Wydawnictwa: lic. Joanna Uzdowska (grafik) oraz dr Marcin Lutomierski (redaktor). Ponadto wszystkie niezbędne materiały graficzne wydrukowano w Drukarni i Introligatorni UMK.

Otwarcie wystawy odbyło się w Bibliotece Uniwersyteckiej UMK 29 listopada 2023 r. Przedstawia ona historię polskiej medycyny weterynaryjnej, od kolebki – Wilna, przez Charków – ośrodek oświaty i nauki weterynaryjnej Europy Wschodniej XIX i początku XX wieku, do medycyny weterynaryjnej na UMK. Okresowi współczesności poświęcono dwie plansze: „Wydział Medycyny Weterynaryjnej na Państwowym Uniwersytecie Biotechnologicznym: rzeczywistość w czasie wojny” i „Medycyna weterynaryjna na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu: współczesne aspekty”. Na tej planszy przedstawiono drogę toruńskiej medycyny weterynaryjnej od początków, założonych w latach 2016–2018 przez jej twórców – rektora UMK prof. Andrzeja Tretyna oraz prof. Jędrzeja M. Jaśkowskiego, dyrektora Instytutu Medycyny Weterynaryjnej UMK – do 2023 r.

W ramach otwarcia wystawy odbyła się ukraińsko-polska sesja naukowa „Polskie korzenie weterynarii w Charkowie: historia i nowoczesność” pod



Otwarcie wystawy „200 lat weterynarii polskiej: z Wilna do Torunia przez Charków”, listopad 2023 r. (fot. Piotr Kurek)



Wystąpienie prof. dr hab. Dmytra Kibkały podczas sesji naukowej „Polskie korzenie weterynarii w Charkowie: historia i nowoczesność”, listopad 2023 r. (fot. Marcin Lutomierski)

patronatem Polskiego Towarzystwa Nauk Weterynaryjnych, reprezentowanego przez prof. Jarosława Sobolewskiego. Wzięli w niej udział przedstawiciele Wydziału Medycyny Weterynaryjnej PUB, których wystąpienia wzbudziły szczególne zainteresowanie obecnych, gdyż ukazały działalność naukowców i nauczycieli akademickich w czasie toczącej się wojny. Prof. Dmytro Kibkały (Katedra Chorób Wewnętrznych i Diagnostyki Klinicznej Zwierząt) przedstawił referat pt. „Profesor medycyny weterynaryjnej we współczesnym Charkowie”, natomiast prof. Serhij Fedorenko (Katedra Chirurgii Weterynaryjnej i Medycyny Rozrodu) – „Szkoła Weterynaryjnej Medycyny Rozrodu w Charkowie”.

Należy dodać, że w maju 2024 r. wystawa została zaprezentowana we Wrocławiu, w murach Dolnośląskiej Izby Lekarskiej, i zbiegła się w czasie z Międzynarodowym Kongresem Historii Medycyny z okazji setnej rocznicy I Zjazdu Polskich Historyków Medycyny (1924–2024).

Ważnym kierunkiem współpracy między uniwersytetami z Torunia i Charkowa jest popularyzacja historii medycyny weterynaryjnej. W tym obszarze pomysłodawcą interesującego projektu został prof. Jarosław Sobolewski. Mowa o cyklu wykładów Centrum Muzealnego PUB oraz Instytutu Medycyny Weterynaryjnej UMK w Toruniu. Wykłady przygotowane przez prof. L. Żwanko w języku polskim są dostępne na kanale „Historia Weterynarii”:

- „Wybitni polscy lekarze weterynarii w Charkowie: postaci, osiągnięcia, odkrycia (XIX – po-

czątek XX stulecia) w 170. rocznicę powstania Szkoły Weterynaryjnej w Charkowie” w ramach VI Seminarium Sekcji Historii Medycyny Weterynaryjnej Polskiego Towarzystwa Nauk Weterynaryjnych <https://www.youtube.com/watch?v=FBHfo65m9-4>

- „Profesor Franz Pilger Założyciel Weterynarii w Charkowie”, <https://www.youtube.com/watch?v=mXcmEePMTc0&t=438s>
- „Polacy – twórcy weterynarii na terenach Ukrainy Wschodniej (XIX – początek XX wieku)”, <https://www.youtube.com/watch?v=W3zXgkKQBag&t=74s>
- „Profesor Leon Cienkowski (1822–1887) i jego genialne otwarcie: szczepionka przeciwko węglikowi”, <https://www.youtube.com/watch?v=4WoTsyPg7Cs&t=875s>

Kolejnym aspektem współpracy jest przygotowywanie wspólnych publikacji naukowych. W latach 2022–2024 zespół autorski złożony z profesorów L. Żwanko, D. Kibkały i J. Sobolewskiego opublikował sześć artykułów w czołowych w zakresie medycyny weterynaryjnej czasopismach Polski: „Medycyna Weterynaryjna”, „Życie Weterynaryjne” i „Weterynaria w praktyce”.

Perspektywy

30 kwietnia 2024 r. odbyło się spotkanie przedstawicieli Państwowego Uniwersytetu Biotechnologicznego w Charkowie i Uniwersytetu Mikołaja



Spotkanie przedstawicieli Państwowego Uniwersytetu Biotechnologicznego w Charkowie i Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu (na platformie Google Meet), kwiecień 2024 r. (Онлайн зустріч з представниками Університету Миколая Коперника (Торунь, Польща), <https://biotechuniv.edu.ua/novyny-fakultetu-veterynarnoyi-medytsyny/onlajn-zustrich-z-predstavnykamy-universytetu-mykolaya-kopernyka-torun-polshha/>)

Kopernika w Toruniu (na platformie Google Meet). W spotkaniu po stronie polskiej uczestniczyli: prof. Justyna Rogalska, Dziekan Wydziału Nauk Biologicznych i Weterynaryjnych, prof. Jarosław Sobolewski, Pełnomocnik Dziekana ds. Kształcenia na kierunkach weterynaryjnych, prof. Maciej Ostrowski, Prodziekan ds. Ekonomicznych i Rozwoju Wydziału Nauk Biologicznych i Weterynaryjnych, a po stronie ukraińskiej: prof. Olesia Cymerman, Dziekan Wydziału Medycyny Weterynaryjnej, prof. Dmytro Kibkało, Katedra Chorób Wewnętrznych i Diagnostyki Klinicznej Zwierząt, Iryna Małyśz, Kierownik Oddziału Współpracy Międzynarodowej, prof. Lubow Żwanko, Kierowniczka Centrum Muzealnego (Онлайн зустріч). W wyniku spotkania dziekanów doszło do porozumienia, które otworzy współpracę między tymi dwoma ośrodkami.

Warto odnotować, że pracownicy Wydziału Medycyny Weterynaryjnej PUB przesłali do polskich kolegów wykaz wykładów w języku angielskim jako ofertę wykładania online dla studentów kierunku „Medycyna Weterynaryjna” UMK. Obecnie pracownicy WNBiW UMK i Wydziału Medycyny Weterynaryjnej PUB w Charkowie pracują nad przygotowaniem memorandum pomiędzy uczelniami, którego podpisanie pozwoli wejść na nowy poziom współpracy.

Niedługo rozpocznie się nowy rok akademicki. Dla społeczności akademickiej UMK w Toruniu to kolejny rok działalności naukowo-dydaktycznej oraz powiększenia osiągnięć i uznania Uczelni. Dla nauczycieli akademickich Państwowego Uniwersytetu Biotechnologicznego w Charkowie to trzeci rok straszliwej wojny, gdy w niezwykle trudnych warunkach pomiędzy atakami rakietowymi na Charków przekazują studentom wiedzę i prowadzą badania naukowe. I oni mają wielką nadzieję, że dotychczasowa współpraca pomiędzy uczelniami, której celem jest przede wszystkim zachowanie ukraińsko-polskiego dziedzictwa historycznego, osiągnie nowy poziom w różnych dziedzinach działalności ich jednostek i środowisk studenckich.



Prof. dr hab. Lubow Żwanko — Centrum Muzealne Państwowego Uniwersytetu Biotechnologicznego w Charkowie, program POLONISTA (NAWA) realizowany w Instytucie Medycyny Weterynaryjnej UMK w Toruniu (2023–2024)



Prof. dr hab. Dmytro Kibkało — Wydział Medycyny Weterynaryjnej Państwowego Uniwersytetu Biotechnologicznego w Charkowie

Konsultacja językowa: dr Marcin Lutomiński



O planach stworzenia indologii na UMK i innych niewykorzystanych możliwościach

Wokół życia i pracy prof. Eugeniusza L. Słuszkiewicza. Z dr. hab. Marcinem Łisieckim, prof. UMK rozmawia Ewa Walusiak-Bednarek

Fot. Andrzej Romański

– Czy w nauce potrzebne jest szczęście?

– Nawiązuje Pani do mojego tekstu stanowiącego wstęp do *Dzieł zebranych Eugeniusza Słuszkiewicza*, które zredagowałem. No, cóż! Nie jestem historykiem i trudno by mi było napisać coś o naukowej biografii badacza, co nie zostało już opisane w innych miejscach. Szukałem takiego punktu zaczepienia, który pozwoliłby mi na powiedzenie czegoś ciekawego i jednocześnie niestandardowego.

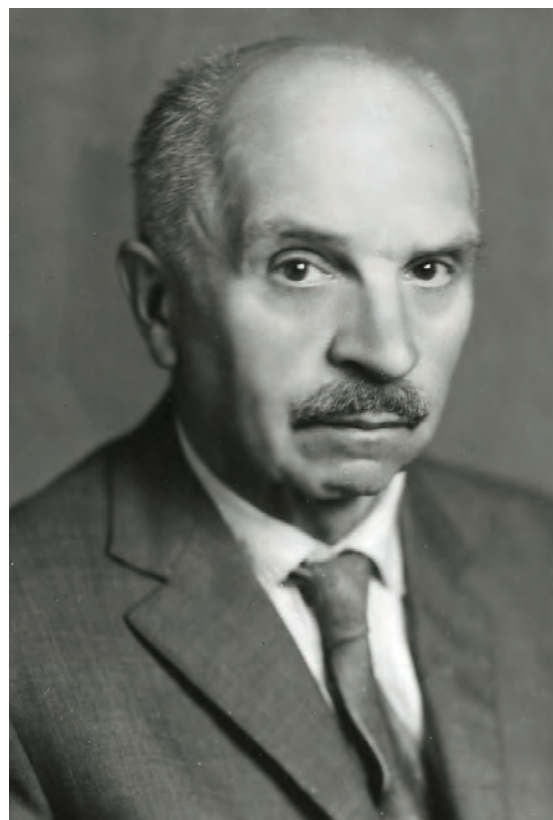
Zaciekało mnie jego życie i funkcjonowanie jako naukowca w bardzo trudnych historycznie momentach; to, jak wielka historia wpływa nie tylko na życie ludzi, ale także na ich twórczość. Również to, w jaki sposób przypadki, zbiegi okoliczności, ale też całkiem niezrozumiałe decyzje różnych ludzi wpływają na rozwój nauki i jej regres. Eugeniusz L. Słuszkiewicz urodził się w 1901 roku w Jarosławiu. Żył i uczył się we Lwowie w ciekawym czasie. Wówczas jednym z „głównodowodzących” w polskiej humanistyce był filozof, psycholog i logik Kazimierz

Twardowski (1866–1938). Słuszkiewicz napisał pod jego kierunkiem rozprawę doktorską poświęconą porównaniu eposu *Ramajana* z tekstem indyjskiego poety Bhođy Ćampuramajana. Jednakże w tej opowieści Twardowski – jako założyciel filozoficznej szkoły lwowsko-warszawskiej – nie odgrywa specjalnej roli, lecz inny badacz związany z Uniwersytetem Jana Kazimierza we Lwowie – językoznawca Andrzej Gawroński (1885–1927). Dodam, że pełni on nie tylko rolę nauczyciela akademickiego, ale mentora i wręcz niekwestowanego mistrza. I jeśli mogę poczynić uwagę o jeszcze jednej osobie, która nie jest związana ze Słuszkiewiczem, a z dwoma pozostałymi: mam na myśli jednego bodajże z najważniejszych polskich filozofów i zarazem chyba jednego rozpoznawanego i wydawanego poza Polską, czyli Romana W. Ingardena (1893–1970). Historia ta sięga czasów, gdy kształtowała się szkoła polskiej filozofii, którą cechowało pozytywistyczne nastawienie, z wyraźnym uwypukleniem roli logiki i matematyki. Wtedy też zaczęła pojawiać się psychologia

i psychologia eksperymentalna. Twardowski zajmował się takimi właśnie sprawami.

Dodam, że Twardowski był kolegą jednego z twórców fenomenologii – Edmunda Husserla (1859–1938), obaj zaś byli uczniami filozofa i psychologa Franza Brentano (1838–1917), czyli, jeśli mogę tak to ująć, znali się ze szkolnej ławy. W jakimś momencie u Twardowskiego pojawił się Ingarden, którego Twardowski wysyła na studia do Wiednia do Husserla, uznając, że będzie on najlepszym dla niego nauczycielem, gdyż pomoże mu rozwijać odmienny typ filozofii. Tyle historii. Natomiast zainteresowały mnie dwa fakty z życia Ingardena, które dotyczą pośrednio Słuszkiewicza. Pierwszy fakt – zupełnie nienaukowy, ale wpływający na życie i pracę – dotyczy osobistych relacji Ingardena z Gawrońskim. Rywalizowali oni o względy tej samej kobiety, a w związku z tym nie darzyli siebie sympatią. Dodam, że – śledząc życiorys Ingardena – dowiedziałem się wielu ciekawych szczegółów o Gawrońskim, który z perspektywy polskich orientalistów jest osobą niezwykle poważaną i hołubioną. Po drugie, ich kariery naukowe były zdeterminowane przez historię i przypadek. Ingarden był niezwykle dobrze wykształcony. Obracał się wśród najlepszych filozofów współczesnej Europy, znał się m.in. z Adolfem Reinachem (1883–1917), Edytą Stein (1891–1942) czy Martinem Heideggerem (1889–1976) – jednym z najbardziej znanych i wpływowych współcześnie filozofów.

Po doktoracie wraca do Polski. Nie chcą go na uniwersytecie we Lwowie, nie chcą w Warszawie. Łąduje w Toruniu – w I Liceum Ogólnokształcącym, gdzie uczy matematyki. Wykształcony niesamowicie, ponad miarę ówczesnych filozofów polskich, ponadto niezwykle twórczo podchodzący do wielu problemów – zostaje nauczycielem gimnazjalnym. Dopiero po jakimś czasie dostaje etat we Lwowie (bo ktoś zmarł). Krótka praca na naszej uczelni, później na Uniwersytecie Jagiellońskim. I w tym dostrzegam podobieństwo do Słuszkiewicza. Bowiem był on również znakomicie wykształconym językoznawcą, obiecującym indologiem i armenologiem, doceniany w polskiej i światowej orientalistyce, znający się z wieloma cenionymi europejskimi badaczami, posługujący się kilkudziesięcioma językami. Czego może naukowiec oczekiwać więcej? Lecz życie jest przewrotne... Niebawem wybucha II wojna światowa, która przerywa jego pracę i odcina od bibliotek, kontaktów naukowych, a po wojnie „Polska ludowa”



Eugeniusz Słuszkiewicz

Fot. z archiwum rodzinnego

zamknęła granice i jeszcze bardziej odcięła jego, jak i wielu innych, od „obiegu wymiany myśli”.

Czy w nauce potrzebne jest szczęście? Tak, nie wystarczy doskonałe przygotowanie, zależymy od tylu innych rzeczy. Ktoś jest wspaniale wykształcony, ma niebywałe osiągnięcia, jego prace są publikowane na zachodzie, czytane i komentowane, otacza się w dyskusjach zacnymi postaciami, ale pracy dla niego – nie ma, jak w przypadku Ingardena. Czy jest odcięty od wyjazdów zagranicznych i dostępu do nowości książkowych, dyskusji, i skazany na uczelnię mającą ograniczać się do „jednej słusznej doktryny” – jak w przypadku Słuszkiewicza.

– Życie Słuszkiewicza dostarcza wielu refleksji nad nauką. Ciekawe jest na przykład to, że przedwojenni polscy humaniści traktowali jego orientalistyczne badania z lekceważeniem, z widocznym europocentryzmem. Miał spore problemy, żeby to, co go interesuje, uprawiać.

– Właśnie. Jak powiedziałem, losy Słuszkiewicza i Ingardena były podobne. Słuszkiewicz bardzo szybko okazał się sprawnym naukowcem. Był uczniem Andrzeja Gawrońskiego, asystentem

w jego Zakładzie Językoznawstwa Porównawczego. Gawroński to też niezwykła postać – jeden z ważniejszych orientalistów przedwojennych. Zmarł w wieku 42 lat. Był autorem niezwykle ważnych prac dotyczących językoznawstwa, literatury sanskryckiej, a także tłumaczem. W przekazach można znaleźć informację, że znał koło stu języków. On sam mówił, że zna ich osiemdziesiąt. Ale sto czy osiemdziesiąt w odniesieniu do języków to już nie robi chyba większej różnicy, prawda? Gawroński to fenomen na skalę światową.

Nie wiem, czy Pani pamięta, był taki antykwariat przy ulicy Podmurnej w Toruniu. Gdy byłem studentem, znalazłem tam książkę Samuela z Ani w języku ormiańskim z pieczęcią „Z biblioteki Andrzeja Gawrońskiego”. W książce są jego komentarze – po ormiańsku. Potem gdzieś przeczytałem, że zawsze robił komentarze w języku, w którym książka była napisana. Nie tylko więc po angielsku, niemiecku czy włosku. Ale także w językach niebywale dla nas odległych. Jak już wspominałem, nie tylko dla Słuszkiewicza, lecz także w przekazach orientalistycznych Gawroński jawi niemalże jako guru. Ale dla Ingardena był to jedynie facet, który miał łatwość do uczenia się języków i niebywałą pamięć. Poza tym dziwak.

Wracając do Słuszkiewicza. Ten moment w antykwariacie na Podmurnej to początek mojej ze Słuszkiewiczem historii. Zastanawiałem się, w jaki sposób książka Gawrońskiego tu dotarła. Ale może później do tego jeszcze wrócimy...

Słuszkiewicz był bardzo dobrze zapowiadającym się studentem. Dostał pracę najprawdopodobniej dzięki Gawrońskiemu. Zaczął zajmować się Indiami i Armenią. Nauczył się sanskrytu i oczywiście wielu innych języków. Potem napisał typowo filologiczny doktorat.

– Co to znaczy, że doktorat był typowo filologiczny?

– Uprawiał on metodę typową dla ówczesnych naukowców zajmujących się Orientem (dziś powiedzielibyśmy raczej „daleko wysuniętą Azją”). Wówczas Orientem zajmowali się przede wszystkim filolodzy. Uczyli się języka i zajmowali się językiem, ewentualnie – rzadko – robili wycieczki w inne obszary, np. oprócz Stanisława Schayera (1899–1941) nie mieliśmy w Polsce filozofa znającego sanskryt i piszącego w kompetentny sposób o indyjskiej filozofii.

– Czyli ich analizy były typowo językoznawcze?

– Tak. Gdy Słuszkiewicz pisze o filozofii hinduskiej czy społeczeństwie indyjskim, widać, że nie do końca pewne rzeczy rozumie. Znał się przecież na kwestiach językoznawczych. Dodam, że na językoznawstwie uprawianym w XIX-wiecznym ujęciu. Chociaż w rozprawie habilitacji, w której analizował nurtujący go problem powstania *Ramajany* i jej oryginału, potrafił poruszyć, w moim odczuciu przypadkowo, kwestie dotyczące kultury oralnej.

W moim przekonaniu Słuszkiewicz jawi się jako ważny badacz nie tylko z powodu podejmowanych przez niego kwestii językoznawczych, lecz potrafiący „podsłownie” dostrzec nowe obszary w orientalistyce. Wróć do jego rozprawy habilitacyjnej. Mianowicie analizując różne wersje *Ramajany*, starał się wykazać, która jest oryginalna, starsza. Był więc to filolog bazujący na tekście, punktem wyjścia był dla niego sam tekst. W latach 20., a więc nieco wcześniej, pojawiły się badania nad oralnością. Zastanawiano się, np. kto jest twórcą *Odysei* i *Iliady*? Homer? Raczej nie, bo w obu tekstach są różnice, raczej nie napisała ich jedna osoba. Najprawdopodobniej te utwory funkcjonowały w różnych wydaniach ustnych i pojawił się ktoś taki jak Homer i je spisał. I najprawdopodobniej tak też było z *Ramajaną*. Valmiki spisał jedną z zasłyszanych wersji. W każdym razie praca Słuszkiewicza została opublikowana przed wojną – w 1938 roku. Po polsku, ale pomógł jej dość szczegółowe *résumé* po francusku.

Tekst zdążył być cytowany i recenzowany w różnych uznanych europejskich czasopismach orientalistycznych. Ugruntowało to pozycję Słuszkiewicza jako cenionego indologa. Był on więc przed wojną postacią w Europie znaną. Wyjeżdżał na stypendia. Korespondował z uznanymi filologami i indologami. Funkcjonował w otoczeniu niebywale istotnym. I nagle wybuchła wojna, Uniwersytet Jana Kazimierza przestaje funkcjonować... Następuje PRL.

Oczywiście – miał szczęście, przeżył pogrom naukowców we Lwowie. Ale jego kariera naukowa została zawieszona na sześć lat. Później, w latach powojennych, przyjeżdża do Torunia i staje się jednym z filarów powstającego Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Ale teraz jego kariera jest ograniczona, bo przed wojną opierała się na kontaktach zagranicznych, na zagranicznej literaturze, a granice pozamykano. Czy potrzebne jest szczęście w nauce? Potrzebne.

– Jak to się stało, że dostał się akurat do Torunia?

– Ludzie formujący uniwersytet w Toruniu sami się do niego zwrócili. Pamiętali, że zna sanskryt i jest rozpoznawalny. A więc akurat w tym wypadku miał szczęście. Ściągnięto go do Torunia jako osobę, która uruchomi orientalistykę lub indologię.

– Nigdy jednak do tego nie doszło.

– Nie doszło, coś poszło nie tak. Mogliśmy być dziś bardzo silnym ośrodkiem orientalistycznym, właśnie dzięki niemu. W Warszawie zmarł jeszcze przed wojną Schayer, kierownik indologii na Uniwersytecie Warszawskim. Nie było wówczas także jeszcze japonistyki w Warszawie. Zasadniczo po wojnie na Uniwersytecie Warszawskim, jeśli chodzi o orientalistykę – niewiele się działo.

Wiele materiałów w ich archiwum w czasie wojny spłonęło. W Toruniu zaś pojawia się stosunkowo młody i z habilitacją Słuszkiewicz, który ma rozkręcić indologię. Zostaje kierownikiem Katedry Językoznawstwa Indoeuropejskiego, z myślą, że będzie mógł zajmować się Indiami. Chyba na początku w to wierzył. W 1948 roku zaproponowano mu przyjęcie posady po indolożce Helenie Willam-Grabowskiej (1870–1957), pierwszej profesorce Uniwersytetu Jagiellońskiego. Odmówił. W tej sprawie znane mi są tylko plotki. Ponoć chodziło o jakiś konflikt osobisty. W każdym razie został w Toruniu. Władze uczelni nie są jednak zainteresowane jego badaniami indologicznymi. Zachowały się listy, w których pyta się Słuszkiewicza, co jest w stanie wyciągnąć z literatury radzieckiej dotyczącej badań nad językiem i literaturą Indii. Jakies kompletne bzdury. Słuszkiewicz był przez lata pracy na naszym Uniwersytecie marginalizowany. W końcu w 1969 roku decyzją ministra przeniesiono go do Warszawy, gdzie zostaje kierownikiem Katedry Indianistyki UW.

Jego praca w Toruniu jest powoli wygaszana. Odbiera mu się zajęcia, przestaje być kierownikiem katedry. W Warszawie indologia jest do dziś. I ma wielu cenionych badaczy, w tym uczniów Słuszkiewicza, np. Marię Krzysztofa Byrskiego zajmującego się między innymi hinduskim teatrem antycznym (który był też ambasadorem w Indiach) czy Marka Mejora zajmującego się między innymi buddyzmem i tybetologią. Toruń na własne życzenie pozbawił się możliwości otwarcia poważnego ośrodka orientalistycznego. Szkoda...

– Co Słuszkiewicz wyklądał na naszym Uniwersytecie?

– Prowadził wykłady z filozofii, logiki, literatury indyjskiej oraz uczył języków. Różnych języków. Bardzo różnych, znał ich około trzydziestu (fakt, przy Gawrońskim trochę mało).

– Żył jakby w dwóch światach. Ale zarówno przed wojną, jak i po wojnie miał trudności, żeby robić to, co tak naprawdę go interesowało. Być może z różnych powodów. Wydaje się, że przed wojną marginalizowano obszary dalekiej Azji, a po wojnie uznano, że uczelnia ma kształcić kadry. Niestety także teraz borykamy się z tym problemem. Nie ma dla klasyków zajęć – zlikwidujemy klasykę na uczelni.

– Nie wiem, czy w przypadku Słuszkiewicza akurat o to chodziło. Jednak wydaje mi się, że władze uczelni wykazały się w sprawie orientalistyki krótkowzrocznością. Jestem pewien, że Słuszkiewicz przyciągnąłby do nas ludzi, którzy by studiowali, potem się doktoryzowali i stworzyli silne środowisko. Oczywiście wtedy nie byłoby orientalistyki w Warszawie. Słuszkiewicz dawał szansę utworzenia indologii w Toruniu, a do tego mógłby stworzyć tu armenistykę. Studia armenistyczne to była jego druga wielka pasja. Armenistyki, jako kierunku, do tej pory nie udało się utworzyć nigdzie w Polsce.

– Nie było raczej politycznych powodów, dla których władze państwowe blokowałyby indologię.

– Indie, w sensie politycznym, nie były w czasach PRL-u obszarem, który mógł być zarzewiem buntu wobec naszej państwowej ideologii czy hodowania niebezpiecznych dla nas jednostek. Wydaje się, że ten obszar świata był dla ówczesnego państwa polskiego bezpieczny. W jego archiwaliach nie znalazłem też, aby specjalnie interesował się tematami, które stały się później popularne w ruchach kontrkulturowych. Chyba tylko jogą.

– Utrzymywano przyjazne stosunki dyplomatyczne.

– Tak, oczywiście. I Słuszkiewicz miał w nich swój udział. Nehru znał Słuszkiewicza. Gdy odwiedził Polskę, w specjalnych pismach prosił o wyznaczenie Słuszkiewicza na swojego tłumacza. Podobno

władze indyjskie – w imieniu Nehru – wyjaśniały polskim oficjelom, że tylko Słuszkiewicz może to robić.

– Czyli wszystko powinno być bardzo dobrze.

– Właśnie. Otwierają w końcu indologię w Warszawie, która działa do dziś bardzo prężnie. A w Toruniu się nie udało, nie wiem, dlaczego. Być może o Słuszkiewicza nie walczone. A on, no cóż, on był taką osobą, która chciała po prostu spokojnie pracować. Nie mógłby uczestniczyć w jakichś rozgrywkach. To nie ten typ człowieka. Był dobrym pracownikiem, ale nie chciał być wikłany w polityczne rozgrywki. Wyobrażam sobie, że mógł mieć trudności ze znalezieniem się w naszym świecie. Także pod względem naukowym. W jego artykułach powojennych widać zamknięcie granic. W Polsce nie ma literatury, on w jakiś sposób dociera do pewnych rzeczy, robi jakieś wypisy.

Zasadniczo w jego badaniach nie pojawia się nic odkrywczego, czego nie można by znaleźć w zachodniej literaturze. Brakuje im trochę ducha oryginalności. Być może zabrakło mu interesujących dyskusji na europejskim poziomie, które prowadził przed wojną. Myślę, że naukowa izolacja może być widoczna w pracach wielu naukowców tego okresu.

– Ale nie jest tak, że wszystko co naukowo wartościowe zrobił do roku 1939?

– Nie, nie, nie! Nadal zajmował się Armenią. Trzeci tom *Dzieł zebranych*, który właśnie składam, dotyczy Armenii. Publikuję tam teksty Słuszkiewicza, które przeleżały w Archiwum prawie sto lat. Na przykład tłumaczenia fragmentów poezji armeńskiej z języka staroormiańskiego i nowoormiańskiego.

Mamy oczywiście szereg polskich tłumaczeń literatury i poezji armeńskiej, ale są to przekłady z innych języków, najczęściej z rosyjskiego. Rzadko kto coś tłumaczył z języków ormiańskich. Słuszkiewicz interesowała przede wszystkim XIX-wieczna poezja. Ale także staroormiańskie teksty dotyczące historii Armenii i teksty filozoficzne. Jeden fragment poezji został opublikowany wcześniej, ale reszta spoczywała w Archiwum. Słuszkiewicz w latach 20. zaczął też tłumaczyć *Podróże* Symeona Lehaciego, czyli Szymona Polaka, Ormianina, który mieszkał we Lwowie. Symeon w XVII wieku, jako młody chłopak, wyruszył z karawaną ze Lwowa do Konstantynopola,

a potem do Rzymu. I szczegółowo opisywał, co się podczas podróży działo, jak wyglądały miasta, ludzie. Fantastyczny tekst! I o wielkiej wartości etnograficzno-antropologicznej.

Słuszkiewicz prawie sto lat temu przetłumaczył to (ze średnioormiańskiego) niemal w całości. I prawie sto lat przeleżało to w naszym Archiwum. Dopiero teraz ukaże się drukiem; właśnie w trzecim tomie jego *Dzieł zebranych*. Dodam, że zbiegło się to wydaniem tłumaczenia całego testu *Podróży* Lehaciego. Ubiegła mnie p. dr Hripsime Mamikonyan. Cóż... Znowu tekst Słuszkiewicza nie miał szczęścia... Na pocieszenie dodam, że w tym tomie pojawi się kilka innych przekładów tekstów staroormiańskich. W naszym Archiwum mamy tego typu perełki. Myślę też, że gdyby te teksty pojawiły się wcześniej, opracowane przez Słuszkiewicza, a nie przeze mnie, mielibyśmy solidne podstawy do stworzenia armenistyki w Polsce.

– Słuszkiewicz przekazał swoją dokumentację naszemu Archiwum, zanim się przeprowadził do Warszawy?

– Nie, całe życie mieszkał w Toruniu. Miał trójkę dzieci, syna i dwie córki. Poznałem jego córki. W tej chwili żyje tylko p. Krystyna. Opowiadała mi, że ojciec nie chciał się przeprowadzić do Warszawy. Do pracy dojeżdżał, raz, dwa razy w tygodniu. Nawet w Warszawie nie nocował. W czasach, gdy Polacy mieszkający na Ukrainie musieli przenieść się na tereny Polski, rodziny musiały sobie załatwić transport dla siebie i swojego dobytku. Najczęściej były to wagony. Podróżowano z krowami, meblami, walizami. Córki Słuszkiewicza opowiadały mi, że ojciec załatwił taki wagon i w całości wypełnił go książkami. Próbuję teraz wyśledzić, gdzie te książki są. Na pewno znaczna część poszła do Warszawy. Natomiast Słuszkiewicz jako osoba niezwykle skrupulatna, gromadził też inne rzeczy, niemal wszystko; rozmaite papiery, bilety, opakowania od produktów spożywczych.

Brakowało wówczas papieru, na wielu tych rzeczach są jego zapiski. Jego żona miała doktorat z filologii polskiej. Pracowała w gimnazjum jako nauczycielka. Miała dokumenty jeszcze ze Lwowa, jakieś podania uczniów i inne. Niemal każda taka kartka z drugiej strony jest maszynowo zapisana przez Słuszkiewicza. I to wszystko się zachowało. Córki po jego śmierci zapakowały tę całą kolekcję

w kartony i przyniosły do Archiwum. Dzięki nim mamy wiele fantastycznych pamiątek po tym wybitnym badaczu i, jak wspominałem, jednym z filarów naszego uniwersytetu. W pierwszym tomie *Dzieł zebranych* opublikowałem trochę zdjęć z najwcześniejszych lat UMK. Są tam, np. życzenia rektora z okazji Nowego Roku 1947, zaproszenie na bal sylwestrowy organizowany przez Sekcję Kulturalno-Imprezową przy Bratniej Pomocy Studentów UMK z 1946 roku, poza tym oczywiście legitymacje, dyplomy, pisma urzędowe, listy i notatki. Słuszkiewicz nie wyrzucał kopert, które w tej chwili również mają wartość historyczną.

Około 10 lat temu zaprowadziłem do Archiwum kilku rosyjskich sanskrytologów. Znaleźli w teczkach Słuszkiewicza listy przedwojennych rosyjskich sanskrytologów. Myślę, że Słuszkiewicz przejął jakąś część dokumentacji Gawrońskiego, po jego śmierci. I to także przywiózł do Torunia. Książka z antykwariatu tak pewnie tu trafiła.

W Archiwum jest dziewięćdziesiąt teczek dotyczących Słuszkiewicza (bardzo grubych). To prawdziwy skarb.

– Jak Pan myśli, dlaczego Słuszkiewicz zainteresował się właśnie Orientem?

– Myślę, że to się zaczęło po prostu od języków.

– Fascynowały go języki i miał do nich łatwość.

– To nie łatwość, to fenomen. Tacy ludzie jak on czy Gawroński mają jakąś niebywałą wprost umiejętność. Ale poza tym Słuszkiewicza interesowała też literatura, przede wszystkim klasyczna literatura sanskrycka, na przykład Kalidasa. No i oczywiście *Ramajana*. To go głównie zajmowało. Czasami robił wycieczki do późniejszych pisarzy. Po wojnie tłumaczył współczesnych pisarzy bengalskich, na przykład opowiadania Rabindranatha Tagore'a i Hemendra Kumara. To literatura poruszająca kwestie odzyskiwania niepodległości, sytuacji na wsi, biedy; realistyczna czy może nawet socrealistyczna.

– Zachęciła go do tego atmosfera wczesnego PRL-u.

– Pewnie tak, choć daleki jestem od przypisywania Słuszkiewiczowi koniunkturalizmu. To są bardzo ciekawe teksty. W jednym z nich Kumar opisuje problem kast w Indiach. Wychodzi człowiek z tramwaju, przewraca się i traci przytomność. Jakaś kobieta podnosi go, bo nikt inny nie chce mu pomóc. Zaprowadza go do szpitala, łoży pieniądze na leczenie, choć sama jest biedna. Człowiek zaczyna traktować ją jak córkę. Ale potem okazuje się, że ona jest z kasty nietykalnych. A on był braminem. Ma do niej żal, wolałby, żeby go zostawiła i żeby umarł, niż by został skalany. Ona go poharbiła. To są utwory społecznie interesujące, opisujące złożoność społeczeństwa hinduskiego, bogactwo rytuałów. W innych teksach przedstawione są przykłady wiejskich rytuałów weselnych w Indiach.

Słuszkiewicz przetłumaczył też podobno *Pañczatantrę*, zbiór bajek indyjskich. Fragmenty tych tłumaczeń pojawiły się w latach 60. w „Roczniku Orientalistycznym”. Córka Słuszkiewicza powiedziała mi, że ojciec przetłumaczył całość (lub prawie całość) *Pañczatantry* i wysłał tłumaczenie do „Rocznika”. Opublikowano fragmenty, a reszta zaginęła. Dowiadywałem się, czy mają jakieś archiwum. Nie mają. Więc prawdopodobnie ktoś je zgubił, a może jest w czyimś mieszkaniu. Oczywiście mamy *Pañczatantrę* po polsku, ale jest to tłumaczenie z angielskiego, a Słuszkiewicz tłumaczył z sanskrytu. Jest za to w naszym Archiwum tłumaczenie *Hitopadesii* (XIV-wieczne wskazówki dotyczące etyki i sposobów zarządzania państwem). W tym przypadku żadne fragmenty nie zostały opublikowane. To są naprawdę zmarnowane szanse. Bylibyśmy w innym miejscu, jeśli chodzi o badania sanskryckie i ormiańskie. Gdyby tylko dano mu szansę na dokończenie tych tłumaczeń, za które się zabrał, staroormiańskiej, ale też późniejszej poezji.

W pewnym sensie i to po wielu latach, taką rolę ma pełnić moja seria *Klasyka Polskiej Orientalistyki*, a w tym *Dzieła zebrane* Słuszkiewicza, gdzie chcę przypomnieć o naszym pracowniku i jego wkładzie do polskiej nauki. A między słowami, o kondycji naszej nauki i jej osobliwościach, wynikających z przypadku... Ale też o szczęściu, które napotykamy na naszej drodze.

– Dziękuję za rozmowę.



Miłość do sportu

Z dr. hab. Dominikiem Antonowiczem, prof. UMK z Instytutu Socjologii UMK rozmawia Winicjusz Schulz

Fot. Andrzej Romański

– Porozmawiajmy dziś o sporcie. Nim wdamy się w szczegóły, spróbujmy zdefiniować sam sport – cóż to takiego? Gdy patrzy się na ogrom i różnorodność dyscyplin: od sztuk walki, lekkoatletyki, żeglarsstwa, sportów zespołowych na szachach i brydżu skończywszy, to wydaje się, że jedyne, co to wszystko łączy, to rywalizacja, pragnienie zwycięstwa, osiągniętego oczywiście według określonych reguł, bo trudno przecież wyobrazić sobie mecz na przykład hokeistów na trawie z tymi na lodzie.

– Nie ma jednej spójnej definicji sportu, można najwyżej wskazać wyróżniające sport jako aktywność społeczną. Jest to na pewno rywalizacja odbywająca się według określonych reguł, której celem jest wyłonienie zwycięzcy przy pomocy obiektywnych kryteriów. Sport jako społeczność ewoluuje, bo zmienia się świat społeczny, a popularność zdobywa np. e-sport.

– Nie może być też być czynnikiem wyróżniającym sport od innych rywalizacji aspekt fizyczny.

Wspomniane tu już szachy czy e-sport są tego dobitnym przykładem. A i zawodników intelektualnie podchodzących do wielu innych dyscyplin nie brakuje.

– Są dyscypliny niewymagające sprawności czy siły fizycznej, czego przykładem są właśnie choćby e-sport, brydż czy szachy.

– Ale z drugiej strony mamy wiele innych pól rywalizacji, których nie nazywamy sportem. Weźmy choćby dziedzinę, którą się zajmujesz. Niby reguły określone, a nikt nie powie o sporcie akademickim, chyba że ma na myśli sportowców i drużyny związane z tym środowiskiem.

– Nie każda forma rywalizacji jest sportem, ale ja cały czas startuję w Akademickich Mistrzostwach Polski w rywalizacji na ergometrze. Ciężko, systematycznie trenuję i bardzo poważnie podchodzę do rywalizacji z dużo młodszymi zawodnikami, która również daje mi sporo radości.



– Dość często słyszy się o popularnych dyscyplinach sportowych. I tu koronnym przykładem może być piłka nożna. Dlaczego jest tak popularna na całym świecie? Wydawałoby się, że to dość nudny sport. Można oglądać 90 minut biegania piłkarzy po boisku i nie doczekać się na chociażby jednego gola. Ujmując problem humorystycznie: jedna jedenastka przeszkadza drugiej i jeszcze jest taki facet, który gwizdże i też przeszkadza.

– Piłka nożna jest prosta w odbiorze, ale jednocześnie złożona jako forma wysiłku zespołowego. Splot historycznych okoliczności sprawił, że w pewnym momencie stała się popularna dyscypliną sportu, która stała się globalnym przemysłem rozrywkowym.

– A już niby podobna dyscyplina, w której też biega się po trawiastym boisku, są bramki, powinno się strzelać gole, aby wygrać mecz – czyli hokej na trawie – nie jest popularna.

– Hokej na trawie to piękna dyscyplina sportu, niezwykle popularna na uniwersytetach w Niemczech, Anglii czy Holandii. Nie jest globalnym biznesem, nie gromadzi milionów przed telewizorami i mało kto zna nazwiska najlepszych hokeistek czy hokeistów na trawie.

– Gdyby uznać za kryterium popularności dostępność do jej uprawiania, to z kolei bieganie, pływanie, badminton, brydż powinny być w czołówce (a nie są).

– Są dwa wymiary sportu. Sport jako aktywność fizyczna, którego popularność wyznacza liczba uprawiających go zawodników i zawodniczek oraz sport jako produkt rozrywkowy, o którego popularności decyduje liczba kibiców oraz widzów.

– A może to media są jednym z bardzo ważnych czynników wpływających na popularność danej dyscypliny? Chyba dobrym przykładem mogą być tu skoki narciarskie. Uprawia je niewielu sportowców, nie mamy skoczni w każdym większym mieście, a i tak są w wielu krajach (z Polską włącznie) popularne.

– Media są głównym mechanizmem budującym popularność sportowych dyscyplin. W Polsce takim przykładem są rzeczywiście skoki narciarskie, ale również siatkówka czy żużel. Duża ekspozycja medialna w powszechnie dostępnych kanałach telewizyjnych znacząco rozbudza zainteresowanie określonymi rozgrywkami czy też całymi dyscyplinami.

– Media mogą też zapewnić danej dyscyplinie i zajmującym się nią zawodnikom potężne pieniądze. Porównajmy choćby gaże piłkarzy nożnych i graczy rugby. Niby jedni i drudzy biegają za skórzaną piłką. Tylko ci pierwsi za zupełnie inne pieniądze.

– Zainteresowanie kibiców, poziom oglądalności są wyznacznikiem finansowych możliwości organizacji sportowych. Dobrym przykładem są rozgrywki żużlowe w Polsce, które urosły do rangi finansowego i medialnego giganta, mimo że jest to dyscyplina globalnie niepopularna. Odwrotnym przykładem są rozgrywki hokeja na lodzie czy koszykówki, dyscyplin cieszących się dużą popularnością na świecie, których zainteresowanie rozgrywkami ligowymi nie jest u nas duże. Zainteresowanie sportem można wykreować, czego też dobrym przykładem jest siatkówka.

– Media to także sponsorzy. I tu już trochę inaczej możemy spojrzeć na problem. Czy można mówić o dyscyplinach, które są szczególnie atrakcyjne dla sponsorów? A jeśli tak – to co o tym decyduje? Chyba nie tylko popularność? A może wręcz odwrot-

nie – elitarność, elegancja, kompatybilność z branżą sponsora?

– Potencjalni sponsorzy i reklamodawcy analizują to, kto uprawia oraz kto ogląda określoną dyscyplinę. Golf, tenis czy żeglarstwo przyciągają luksusowe marki, podczas gdy kolarstwo przyciąga reklamodawców zainteresowanych bardziej masowym odbiorcą, zwłaszcza jeżdżącym na rowerze.

– Przyjrzyjmy się może wybranym dyscyplinom. I zacznijmy od sportów walki. Szczególnie bliskie jest Ci pięściarstwo. Dlaczego jest znacznie bardziej popularne niż na przykład sięgające tradycjami starożytności zapasy (o innych sportach bardziej odległych nam kulturowo typu karate, judo nie wspominając).

– Na takie pytanie trudno jednoznacznie odpowiedzieć, być może łatwiejsze dla masowego odbiorcy reguły rywalizacji, może szybka komercjalizacja tej dyscypliny w USA to sprawiła, a może przyczynili się do tego wielcy pięściarze jak Muhammed Ali, Sugar Ray czy Mike Tyson, którzy rozbudzali masą wyobraźnię odbiorców. W Polsce też zawodnikiem, który wzbudzał największe zainteresowanie w sportach walki, był przecież Andrzej Gołota.

– Sporty walki mają to do siebie, i jest to argument często podnoszony przez ich przeciwników, że są brutalne, że zakładają eliminację rywala. Leje się

krw, czasem słyszy o poważnych konsekwencjach zdrowotnych.

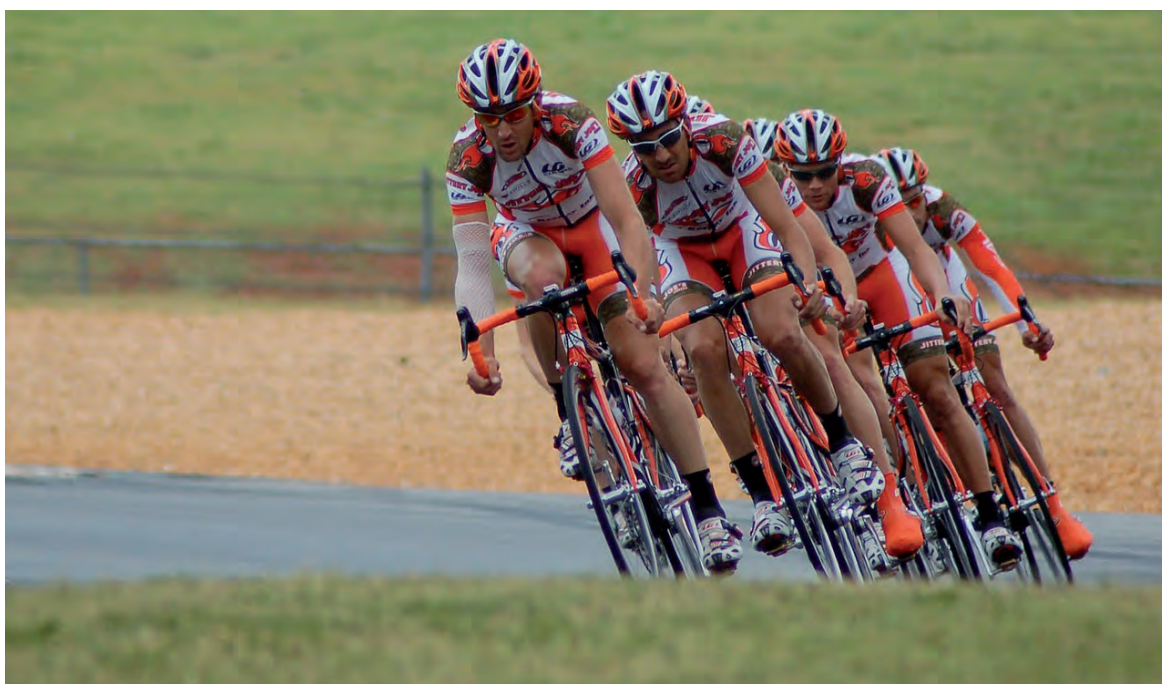
– Sport zawodowy niszczy zdrowie i oczywiście są dyscypliny, które szczególnie mocno eksponują organizm na kontuzje. Należą do nich sporty walki, uprawiający je zawodnicy są świadomi ryzyka, a jednak robią to z pasji, dla sławy lub dla pieniędzy. Każdy sportowiec musi podejmować wybory, mając na uwadze to, że sport jest tylko częścią jego życia, ale trudno rezygnować z aktywności, której poświęciło się lata ciężkiej pracy i również wielu wyrzeczeń.

– Ostatnio popularne są walki MMA. Co sądzisz o nich jako ten, który sam wychodzi na ring?

– Niestety już od dwóch lat nie wychodzę na ring. MMA czy mieszane sztuki walki są bardzo ciekawą, wszechstronną, ale fizycznie wyczerpującą formą rywalizacji. Niestety formuła ich organizacji jako mordobicia celebrytów trochę prymitywizuje wizerunek tej dyscypliny.

– Sporty z piłką. Czemu piłka nożna, a nie ręczna, siatkówka, koszykówka? W tych innych nawet przepisy wydają się prostsze, łatwiej je zrozumieć niż np. słynną zasadę spalonego w futbolu.

– W każdej z tych dyscyplin reguły są proste, ale ich przyswojenie wymaga zaangażowania się i regularnego oglądania czy uprawiania. Zaintere-





sowanie sportem w danym kraju jest pochodną sukcesów jaki sportowcy tego kraju odnoszą na arenie międzynarodowej. Polacy zakochali się w siatkówce, bo i reprezentacje, i kluby odnoszą liczne sukcesy, a reguły tego sportu przyswoili sobie bez większego problemu.

– A co ze sportami wodnymi? Jakoś ich specjalnie nie kochamy.

– Nie mamy sukcesów, nie ma zainteresowania, nie ma miłości.

– Z kolei lekkoatletyka, zwana niekiedy królową sportu – tu mam wrażenie, że sprawdza się zasada; mamy w niej polską gwiazdę, to kochamy daną dyscyplinę. Kiedyś tyczka, kula, teraz choćby dysk, sztafety.

– Mechanizm jest bardzo podobny, poza nieliczną, ale fanatyczną grupą kibiców zakochanych w lekkiej atletyce masowy odbiorca śledzi rywalizację dopiero, gdy pojawia się gwiazda lub realna szansa na sukces.

– I tu dotykamy zapewne bardzo istotnego problemu: na ile gwiazda, gwiazdy przyczyniają się do popularności danej dyscypliny. Kiedyś „Orły Górskiego”, potem np. Adam Małysz, Tomasz Gollob, teraz Iga Świątek, Bartosz Zmarzlik. Nawet niszowe sporty mogą stać się miłością narodową.

– Wpływ wybitnych indywidualności na popularność określonej dyscypliny jest trudny do przecenienia, warto przypomnieć choćby Justynę Kowalczyk, Adama Małysza czy Roberta Kubicę, którzy podnieśli swoje dyscypliny do rangi centralnych w tym kraju.

– W ten sposób dotarliśmy do sportu szczególnie bliskiego toruńczykom. Żużel, zwany z angielska speedwayem. Wydawałoby się, że lichej to materiał na atrakcyjną dyscyplinę. Czterech facetów jeździ w kółko w lewo, cztery razy wokół. I tak 15 razy w jednym meczu. Nuda. No chyba, że ktoś się przewróci (to oczywiście ponury żart). Do tego hałas, smrodek spalin (podobno niektórzy to uwielbiają). Nieliczne grono zawodników, klubów w porównaniu nie tylko z piłką nożną, ale też innymi sportami. Wybór niewielki i tylko przez kilka miesięcy w roku.

– Trudno jest mierzyć atrakcyjność dyscyplin sportowych, bo z racjonalnego punktu widzenia każda z nich jest trochę karykaturalna. Kiedyś jeszcze można było tłumaczyć ich racjonalność przygotowaniem militarnym czy dbałością o ogólną tężyznę, ale wszystkie sportowe drużynowe są zasadniczo sztucznym wytworem.

Nie inaczej jest z żużlem, co nie zmienia faktu, że w Polsce jest niezwykle popularną dyscypliną sportową, która nie tylko przyciąga tysiące ludzi na stadiony, dziesiątki tysięcy przed telewizory, ale jest też źródłem lokalnej tożsamości budujących więzi społeczne. Kibice żyją żużlem cały rok, nawet wtedy, gdy jest przerwa w rywalizacji. Jako kibic żużla nie mam żadnych kompleksów.

– Można też zauważyć jeszcze jedną prawidłowość – żużel to sport przede wszystkim miast średniej wielkości. Spójrzmy na żużlową mapę Polski: Toruń, Gorzów, Częstochowa, Lublin, Leszno, z większych miast tylko Wrocław. Nie ma klubu żużlowego Warszawa. Dlaczego?

– Historię rozwoju żużla w Polsce doskonale opisał Robert Noga w książce *Żużel w PRL-u* wydanej przez Wydawnictwo Naukowe UMK. Mapa żużla w Polsce oddaje główne ośrodki rozwoju przemysłowego po II wojnie światowej, które zresztą wyznacza linia Wisły. Warszawa była przecież całkowicie zniszczona, odradzające się miasto nawiązywało przede wszystkim do przedwojennych tradycji pił-

karskich, których w innych miastach albo nie było wcale, albo nie były tak silne.

– **Żużel to typowa dyscyplina, w której liczy się nie tylko zawodnik (oczywiście ważne są jego umiejętności). Dajmy lichy motocykl Zmarzlikowi, to i tak biegu na czymś takim nie wygra. To chyba wypacza ideę sportu, bo sprzęt wymaga pieniędzy? Widać to nie tylko w żużlu, ale chociażby bobslejach, żeglarswie.**

– Relacja technologii ze sportem jest złożona, ale rzeczywiście żużel coraz bardziej przypomina wyścigi F1. Nie odbiera to oczywiście niczego Zmarzlikowi, ale dostęp do najnowszych nowinek technicznych, najlepszych silników ma wyłącznie wąskie grono najlepszych zawodników.

Żużel nie jest na pewno jedynym sportem, w którym wpływ technologii jest tak ogromny. Mamy oczywiście też podobne zjawisko w takich dyscyplinach jak chociażby wyścigi Formuły 1, żeglarsstwo, narciarstwo czy skoku narciarskie.

– **No i są też sporty megaelitarne, a i tak bardzo popularne. Przykładem może być wspomniana już Formuła 1. Kilka torów na świecie, kilkunastu zawodników, gigantyczne pieniądze. I rozpoznawalność na całym niemal świecie.**

– Wyścigi Formuły 1 cieszą się ogromnym zainteresowaniem na świecie, a rywalizacja bolidów gromadzi przed telewizorami miliony kibiców. Wielki show za wielkie pieniądze.

– **Przyznam także, że mam spory problem z dyscyplinami sportowymi, w których sporą rolę odgrywa... uznaniowość. Gimnastyka artystyczna, łyżwiarstwo figurowe, pływanie synchroniczne, skoki do wody. Tak zwane wrażenie artystyczne jest ważnym elementem sukcesu. A tymczasem w innych sportach sprawa jest prosta: kto szybciej pobiegł, dalej lub wyżej skoczył, strzelił więcej goli ten wygrywa. Może nie należałoby tamtych dyscyplin nazywać sportem, a raczej pokazami?**

– Tak jak mówiłem na początku naszej rozmowy, sport wyróżnia się tym, że jego celem jest wyłonienie zwycięzcy przy pomocy obiektywnych kryteriów. Czas czy odległość są łatwo mierzalne i relatywnie bezdyskusyjne, ale ocena sędziów ma w sobie element ekspercki, co oczywiście wzbudza



kontrowersje. Natomiast nawet w tych dyscyplinach ocena sędziów jest silnie ustrukturalizowana, a jej dowolność znacząco ograniczona.

Myślę, że przy tej okazji warto jednak powiedzieć, że w wielu dyscyplinach sportu, choćby w koszykówce, siatkówce, piłce nożnej, hokeju czy na żużlu sędziowie też podejmują kluczowe decyzje w oparciu o własną ocenę i interpretację wydarzeń. Nie brak kontrowersji, a decyzje sędziów niekiedy rozstrzygają o wynikach rywalizacji.

Na pewno śledzenie i rozumienie rywalizacji, z których noty wystawiają sędziowie, jest trudniejsze i wymaga dobrej znajomości reguł, ale byłbym daleki od odbierania takim rywalizacjom statusu dyscyplin sportowych.

– **Dziękuję za rozmowę.**



Bartosz Rakoczy

Zniewaga i zniesławianie w prawie polskim

Jednym z kluczowych elementów demokracji liberalnej jest wolność słowa. Wolność ta stanowi również ogromną zdobycz współczesnego społeczeństwa. Wolność słowa jest obecnie chroniona nie tylko na płaszczyźnie konstytucyjnej, ale także na płaszczyźnie prawnomiedzynarodowej.

Istotą wolności słowa jest swoboda wyrażania własnych przekonań, opinii, argumentów, poglądów itp., bez obawy, iż spotka się to z negatywną reakcją innych podmiotów czy też chociażby samego państwa. W wolności słowa chodzi zatem o możliwość swobodnej wypowiedzi i prezentacji własnych poglądów niezależnie od ich jakości, racjonalności itp.

Jednak wolność słowa, tak jak i każda inna wolność, nie jest wolnością bezwzględną i nieograniczoną. W demokratycznym państwie prawa ograniczanie wolności wypowiedzi i wolności słowa nie tylko jest właściwe, ale wręcz konieczne. Oczywiście problemem jest, jak dalece ta wolność słowa i wolność wypowiedzi mogą być ograniczane?

W tym zakresie podstawę ograniczanie wolności wypowiedzi i wolności słowa stanowi art. 31 ust 3 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej, który sta-

nowi, iż „ograniczenia w zakresie korzystania z konstytucyjnych wolności i praw mogą być ustanawiane tylko w ustawie i tylko wtedy, gdy są konieczne w demokratycznym państwie dla jego bezpieczeństwa lub porządku publicznego, bądź dla ochrony środowiska, zdrowia i moralności publicznej albo wolności i praw innych osób. Ograniczenia te nie mogą naruszać istoty wolności i praw”. Jak wynika z treści tego przepisu, jedną z okoliczności usprawiedliwiających ograniczenie wolności wypowiedzi i wolności słowa jest potrzeba ochrony praw i wolności innych osób. W przypadku wolności wypowiedzi i wolności słowa w grę wchodzi potrzeba ochrony prawdy, a także dobrego imienia, sławy, renomy itp. innych osób.

Wykonywana wolność wypowiedzi i wolność słowa nie może powodować naruszania dóbr innych osób. Wolność słowa jednej osoby jest zatem tak dalece chroniona, dopóki nie powoduje naruszenia praw i wolności innej osoby. Naruszenie tej granicy może przybierać różne formy. Najbardziej istotnymi formami przekroczenia wolności słowa i naruszenia dóbr innej osoby są zniewaga i zniesławienie.

Waga naruszeń dóbr innej osoby jest tak istotna i społecznie szkodliwa, że ustawodawca zdecydował, że zniewaga i zniesławienie są czynami karnymi w systemie prawa polskiego. Przekraczając zatem granicę wolności słowa, można dopuścić się przestępstwa zniewagi lub zniesławienia. Przestępstwo zniesławienia polega na tym, że pomawia się inną osobę o takie postępowanie (działanie lub zaniechanie) lub właściwości, które powszechnie uznaje się za naganne, co może poniżyć ją w opinii publicznej lub narazić na utratę zaufania potrzebnego dla danego stanowiska, zawodu lub rodzaju działalności. Przedmiotem ochrony jest w tym przypadku tzw. część zewnętrzną dóbr osobistych, jak dobre imię pokrzywdzonego. Pomówienie, co do zasady, polega na rozpowszechnianiu informacji nieprawdziwych lub zmanipulowanych, które narażają na utratę zaufania lub poniżają w opinii publicznej. Odnotować na marginesie należy spór w doktrynie, co do tego, czy rozpowszechnianie informacji praw-



dziwych wyczerpuje znamiona czynu z art. 212 Kodeksu karnego. Natomiast przestępstwo zniewagi, stypizowane w art. 216 Kodeksu karnego, polega na znieważaniu osoby pokrzywdzonej w jej obecności, a także publicznie lub z zamiarem, aby zniewaga ta dotarła do tej osoby. Dobrem chronionym jest tutaj, odmiennie od przestępstwa zniesławienia, tzw. część wewnętrzna człowieka, tj. jego godność. Znieważanie polega przede wszystkim na kierowaniu obelżywych słów lub gestów bezpośrednio do osoby pokrzywdzonej lub pośrednio odnoszących się do niej, ale publicznie, a także w taki sposób, aby to do niej dotarło. Od strony podmiotowej czynu, przestępstwa te się nie różnią – oba są przestępstwami powszechnymi, formalnymi i można je popełnić jedynie umyślnie, w obu postaciach zamiaru. Zależnie od odpowiedzialności karnej stypizowanej tych w dwóch rodzajach przestępstw osoba, która przekracza granice wolności słowa może również narazić się na odpowiedzialność cywilną. Jak wynika bowiem z art. 23 Kodeksu cywilnego: „dobra osobiste człowieka, jak w szczególności zdrowie, wolność, cześć, swoboda sumienia, nazwisko lub pseudonim, wizerunek, tajemnica korespondencji, nietykalność mieszkania, twórczość naukowa, artystyczna, wynalazcza i racjonalizatorska, pozostają pod ochroną prawa cywilnego niezależnie od ochrony przewidzianej w innych przepisach”. Ustawodawca zatem traktuje cześć, sławę, renomę, dobre imię jako dobra osobiste człowieka, podlegające ochronie prawnej. Osoba, której dobra naruszono, może zatem dochodzić również roszczeń w prawie cywilnym. Może domagać się zarówno zadośćuczynienia, jak i odszkodowania, oczywiście, jeżeli zostaną spełnione przesłanki uwzględnienia takich roszczeń. Podkreślić należy, iż ochrona dóbr osobistych nie dotyczy jedynie osób fizycznych. Niektóre dobra osobiste przysługują również osobom prawnym i jednostkom organizacyjnym nieposiadającym osobowości prawnej. Ochrona ta obejmuje między innymi takie dobra, jak dobre imię, cześć, renomę, sławę. Tym samym przekraczając wolność słowa, można również naruszyć dobra osobiste osób prawnych i jednostek organizacyjnych nieposiadających osobowości prawnej.

Jest to szczególnie istotne w przypadku krytyki różnego rodzaju instytucji, podmiotów innych



niż osoby fizyczne itp. Formułując zatem określone oceny, należy liczyć się z tym, że określony podmiot uzna, że naruszono jego dobra osobiste. Czy będzie to zasadna ocena, czy też nie – rozstrzygnie sąd. Zwrócić również należy uwagę, iż standard i poziom ochrony dóbr osobistych poszczególnych osób może być zróżnicowany.

Orzecznictwo sądu wskazuje, iż ochrona dóbr osobistych osób publicznych jest na niższym poziomie niż innych osób. Zatem osoba, która zdecydowała się na pełnienie jakiejś funkcji publicznej, musi liczyć się z tym, że jej oponentom i krytykom wolno więcej, co oczywiście nie oznacza, iż wolno wszystko. Niezależnie jednak od prawnych aspektów wolności wypowiedzi i wolności słowa należy zwrócić uwagę, iż żadna norma prawna nie będzie na tyle doskonała, aby zwolnić każdego z nas z odpowiedzialności moralnej za formułowane zdania, opinie, komentarze, wypowiedzi itp. Niezależnie od grożących sankcji i konsekwencji prawnych zawsze pamiętajmy o odpowiedzialności za słowo, szacunku dla innych osób, szczególnie o odmiennych poglądach, a przede wszystkim o tym, że słowa mogą ranić inne osoby.



Prof. dr hab. Bartosz Rakoczy — kierownik Katedry Prawa Ochrony Środowiska i Publicznego Prawa Gospodarczego, Wydział Prawa i Administracji UMK

Magdalena Schulz

Smażyć? Ale na czym?

Smażenie to jedna z podstawowych technik używanych w kuchni i nic w tym dziwnego, bowiem metoda ta nadaje potrawom chrupkość oraz wyjątkowy smak i aromat. Z dietetycznego punktu widzenia smażenie nie powinno być codziennością z uwagi na podwyższanie kaloryczności potraw (np. z produktów panierowanych) oraz zachodzące procesy chemiczne.

W diecie jest miejsce na wszystko, jednak kluczem jest umiar w spożywaniu potraw smażonych oraz odpowiedni wybór tłuszczu, na którym smażymy. Olej rzepakowy, słonecznikowy, oliwa z oliwek czy smalec? Olej olejowi nierówny i nie wszystkie nadają się do wykorzystania podczas obróbki termicznej. Na jakim tłuszczu więc powinniśmy smażyć?

Zacznijmy od samego procesu smażenia i zagrożeń zdrowotnych, jakie za sobą niesie. W trakcie tej obróbki termicznej zachodzi szereg reakcji chemicznych, które wpływają na atrakcyjność potraw, np. karmelizacja czy reakcja Maillarda, które odpowiadają za złotobrązową, chrupiącą skórkę. Dodatkowo smażenie podwyższa często kaloryczność potraw, nawet o kilkaset kalorii. W przypadku diety redukcyjnej nadmiar tłuszczu na patelni może zrobić ogromną różnicę i skutkować brakiem efektów na wadze. Nie jest to również najlepszy wybór

dla osób borykających się z chorobami przewodu pokarmowego, z uwagi na ciężkostrawność potraw smażonych.

Podczas smażenia dochodzi do kontaktu oleju z wodą zawartą w produkcie spożywczym. Dodatkowo reakcji tej towarzyszy tlen oraz wysoka temperatura. Te trzy czynniki (woda, tlen i wysoka temperatura) nie stanowią korzystnych warunków dla tłuszczu, na którym smażymy i często wykazują szkodliwy wpływ na zdrowie. Wysoka temperatura, taka, przy której tłuszcz zaczyna się spalać, określana jest mianem punktu dymienia. Po przekroczeniu punktu dymienia, pogorszeniu ulegają walory organoleptyczne oleju (smak i zapach) oraz następuje rozpad tłuszczu na wolne kwasy tłuszczowe i glicerol. Na drodze hydrolizy również powstają wolne kwasy tłuszczowe, które z kolei nasilają utlenianie cząsteczek tłuszczu i zwiększają stres oksydacyjny oraz działanie prozapalne na organizm. Podsumowując, wyżej wymienione czynniki wpływają na pogorszenie jakości oleju, dlatego tak ważny jest wybór odpowiedniego tłuszczu do smażenia, który cechuje się wysoką odpornością na tworzenie się niekorzystnych produktów utleniania.

Właściwościami, które głównie decydują o jakości oleju i jego wytrzymałości na niekorzystne czynniki zewnętrzne, są punkt dymienia oraz odporność na utlenianie. Stwierdza się nawet przewagę odporności na utlenianie nad punktem dymienia, ponieważ dowiedziono, że najwyższą stabilność termiczną i najmniej szkodliwych produktów ubocznych smażenia miały oleje o większej odporności na utlenianie i niższym punkcie dymienia od olejów o niższej odporności na utlenianie, a wyższym punkcie dymienia.

Jaki więc wybrać olej do smażenia? Który charakteryzuje się największą stabilnością termiczną?

Oliwa extra virgin

Według aktualnych danych, oliwa extra virgin jest najlepszym tłuszczem do smażenia, ponieważ ze względu na dużą zawartość przeciwutleniaczy i witaminy E, charakteryzuje się najwyższą stabilnością oksydacyjną. Oliwa jest również uboga w izomery trans kwasów tłuszczowych, więc cechuje się niską



podatnością tworzenia tych związków pod wpływem temperatury. Oliwa extra virgin nadaje się do dłuższego smażenia oraz krótkiego obsmażania, a jej punkt dymienia wynosi około 160–180°C. Oliwa z oliwek charakteryzuje się korzystnym profilem lipidowym, czyli jest zasobna w jednonienasycone kwasy tłuszczowe, które wykazują prozdrowotne działanie na układ krążenia. Pomimo wysokiej odporności na utlenianie, pamiętajmy, że najwięcej przeciwzapalnych składników dostarczymy, spożywając oliwę na surowo, dodając ją do sałatek czy kanapek.

Olej z awokado

Kolejnym tłuszczem, który charakteryzuje się wysoką odpornością na utlenianie, jest olej z awokado. Jego punkt dymienia wynosi ponad 250°C – można go więc używać do smażenia w wyższych temperaturach, bez ryzyka pogorszenia walorów smakowych. Podobnie jak oliwa extra virgin, również olej z awokado zawiera jednonienasycone kwasy tłuszczowe oraz witaminę E o działaniu przeciwutleniającym.

Olej rzepakowy rafinowany

W wielu domach olej rzepakowy jest najczęściej wybieranym produktem do smażenia. Cechuje się on wyższym punktem dymienia od oliwy (ok. 200°C), dlatego utarło się, że najlepiej nadaje się do smażenia. Niestety, okazuje się, że olej rzepakowy nie wykazuje tak dużej odporności na utlenianie i już w temperaturze około 170°C zaczynają tworzyć się szkodliwe związki. Olej ten jest względnie dobrym wyborem do krótkotrwałego obsmażania w niskiej temperaturze, jednak najlepiej postawić na oliwę z oliwek lub olej z awokado.

Olej kokosowy

Olej kokosowy charakteryzuje się wysoką stabilnością i niską zawartością izomerów trans kwasów tłuszczowych. Jego punkt dymienia oscyluje w granicach 180–200°C i sprawdzi się zarówno do krótkiego obsmażania jak i dłuższego smażenia. Z uwagi na te parametry, olej kokosowy jest uznawany za dobry olej do smażenia. Niestety wadą oleju kokosowego jest jego profil kwasów tłuszczowych – olej ten zawiera dużo nasyconych kwasów tłuszczowych, które wykazują niekorzystne działanie na układ krążenia. Dlatego pod względem zdrowotnym nie jest on najlepszym wyborem i powinien być stosowany z umiarem, do sporadycznego smażenia np. placków, aby nadać im kokosowy posmak.



Inne oleje roślinne, które nadają się do smażenia, to olej z orzeszków ziemnych i orzechów laskowych. Cechują się one wysokim punktem dymienia (ok. 220°C) oraz dobrą stabilnością oksydacyjną, a dodatkowo nadają potrawom unikatowy smak. Do dań azjatyckich natomiast świetnie sprawdzi się olej sezamowy, który charakteryzuje się niższą stabilnością oraz wyższą zawartością wielonienasyconych kwasów tłuszczowych, ale dobrze sprawdza się do krótkiego obsmażania dań w woku. Jego punkt dymienia to około 180°C.

A co z tłuszczami pochodzenia zwierzęcego i smażeniem na maśle czy smalcu? Z uwagi na wyższą zawartość kwasów tłuszczowych nasyconych oraz obecność cholesterolu, którego w tłuszczach roślinnych nie ma, powinniśmy ograniczać ich spożycie w diecie. Co prawda kwasy tłuszczowe nasycone cechują się dużą stabilnością termiczną i wytrzymałością na utlenianie, jednak ich wysokie spożycie może prowadzić do rozwoju miażdżycy oraz zaburzeń lipidowych. Dodatkowo, cholesterol w nich zawarty jest bardzo wrażliwy na utlenianie i już w temperaturze 150°C powstają związki niekorzystne dla zdrowia, zwiększające ryzyko chorób krążenia oraz neurodegeneracyjnych. W wyjątkowych sytuacjach, najlepiej postawić na masło klarowane, które ma wyższy punkt dymienia od zwykłego masła, lub na smalec, których cechuje się niższą zawartością cholesterolu oraz dosyć wysokim punktem dymienia. Jednak na co dzień zdecydowanie lepiej sprawdzą się roślinne tłuszcze bogate w kwasy jednonienasycone, przeciwutleniacze i niezawierające cholesterolu.



Jest też grupa tłuszczów, które w ogóle nie nadają się do smażenia. Oleje te cechują się wysoką zawartością wielonienasyconych kwasów tłuszczowych, które mają zbawienny wpływ na organizm, jednak są bardzo wrażliwe na działanie czynników zewnętrznych, temperaturę i utlenianie. Do tych produktów zaliczamy olej lniany, z pestek dyni i winogron, olej słonecznikowy, sojowy czy kukurydziany. Oleje te powinny być spożywane na zimno, aby dostarczyć przeciwzapalne kwasy tłuszczowe z rodziny omega.

Podsumowując, najlepsze tłuszcze do smażenia charakteryzują się wysoką zawartością kwasów jednonienasyconych, przeciwutleniaczy oraz niską zawartością cholesterolu. Te cechy zapewniają lepszą odporność oleju na utlenianie i ochronę przed tworzeniem się szkodliwych związków podczas smażenia. W oparciu o te dane najzdrowszym olejem do smażenia jest oliwa extra virgin oraz olej z awokado. Dobrym wyborem będzie również olej rzepakowy oraz olej z orzeszków ziemnych. Olej kokosowy również cechuje się wysoką odpornością na utlenianie, jednak dostarcza dużo nasyconych kwasów tłuszczowych, więc warto zachować umiar w jego stosowaniu. Natomiast masło czy smalec oprócz kwasów tłuszczowych nasyconych zawierają także cholesterol, który jest bardzo wrażliwy na wysoką temperaturę i ulega przemianom do niekorzystnych związków.



Mgr Magdalena Schulz — absolwentka dietetyki Collegium Medicum UMK, dietetyk kliniczny

Jarosław Dumanowski

Ruskie czy ukraińskie? Jedzenie, historia i polityka

Przez ponad półtora roku razem z ekipą filmową „New Format” kręciliśmy zdjęcia do serialu dokumentalnego *Historia kuchni polskiej*. Sam projekt i prace przygotowawcze zaczęły się wiele lat temu i są przy tym wynikiem badań, poszukiwań i niezliczonych spotkań, które w Centrum Dziedzictwa Kulinarne realizujemy już od wielu lat.

Odwiedzaliśmy przede wszystkim historyków, ale także archeologów, antropologów, przyrodników. Rozmawialiśmy z producentami żywności, smakoszami i oczywiście kucharzami (oraz kucharkami). Dużo zjedliśmy i bardzo dużo ugotowaliśmy, gdyż oprócz, spotkań i rozmów, zdjęć w historycznych miejscach, muzeach i bibliotekach, kręciliśmy potem zdjęcia w studiu kulinarnym. Gotując, jedząc i dyskutując o tym, co jemy i jak to gotujemy. Przez wiele, wiele dni...

Wiele, a właściwie większość tych spotkań było dla mnie powrotami i spotkaniami z przyjaciółmi, czasem dawno niewidzianymi. W Angers (we Francji), mieście, gdzie przed laty studiowałem historię, gościł nas profesor Florent Quellier, redaktor najnowszej syntezy historii jedzenia i całej serii rozpraw o kuchni, dawnych ogrodach kuchennych, historii owoców i ucztach oraz obżarstwie w czasach nowożytnych. W monumentalnej *Histoire d'alimentation* zdecydował się umieścić na marginesie każdego rozdziału informację o popularnych mitach żywieniowych, które często wykorzystywane są jako instrument propagandy czy manipulacji. W Tours, gdzie z kolei przed laty pracowałem w Europejskim Instytucie Historii i Kultur Jedzenia, podejmował nas Bruno Laurioux, specjalista od historii jedzenia i książek kucharskich w średniowieczu. Profesor Laurioux opowiadał nam o ideologicznym i politycznym wykorzystywaniu kuchni w średniowieczu.

Odwiedziliśmy w Wiedniu samego wielkiego mistrza Zakonu, w czeskiej Pradze szukaliśmy pier-



wowzoru najstarszej polskiej książki kucharskiej. Jej tekst kilka lat wcześniej odnaleźliśmy w rękopiśmiennej kopii przechowywanej w Kijowie, co sprawia, że ciągle myślimy o naszych przyjaciółach i współpracownikach z Ukrainy. Prawie do samego wybuchu wielkoskalowej wojny spędziłem sporo czasu w Kijowie i we Lwowie, żywiąc się głównie barszczem i pierogami, co wcale nie było monotonne.

I tu zabawna, jak się kiedyś zdawało, a w swym nieuznającym śmieszności szaleństwie, złowroga historia. Pokazuje ona, czym może być i jak jest wykorzystywana historia jedzenia. Ponieważ jedzenie i kuchnia są czymś zrozumiałym i bliskim dla nas wszystkich, to często są to wątki wykorzystywane politycznie i propagandowo. I o takim wykorzystywaniu tematyki związanej z historią jedzenia i tradycjami żywieniowymi chciałbym dzisiaj opowiedzieć.

Kilka lat temu rosyjscy propagandyści ogłosili światu, że nie ma czegoś takiego jak barszcz ukraiński, no bo nie ma przecież Ukrainy. Istnieje tylko Małorosja, więc można mówić co najwyżej o barszczu małorosyjskim, a więc regionalnej potrawie rosyjskiej. Była to pośpieszna i chyba nieprzemyślana reakcja na pierwsze informacje o zamiarze wpisania tradycji ukraińskiego barszczu na listę niematerialnego dziedzictwa UNESCO.

Z punktu widzenia rosyjskiej propagandy, która od lat koncentrowała się na próbach zanegowania odrębności Ukrainy, próbując jakoś wytłumaczyć fakt istnienia Rusi Kijowskiej, kozackiego hetmanatu czy samego języka ukraińskiego, było to czymś bardzo groźnym. Żywieniowe wpisy na listę zwykle odbijają się szerokim echem w międzynarodowej opinii publicznej, a informacje o tego typu inicjatywach

zataczają szerokie kręgi, docierając do kolorowej prasy, popularnych portali, pism i programów kulinarnych. Tak było kiedyś np. z wpisami dotyczącymi tzw. posiłku gastronomicznego Francuzów, kuchni japońskiej, tradycyjnej kuchni meksykańskiej czy belgijskiej kulturze piwowarskiej. Na swój sposób reakcja rosyjskiej propagandy była więc racjonalna: niebezpieczeństwo należało dusić w zarodku. Oprócz samych propagandystów i zawodowych trolli w akcji wzięło też udział rosyjskie ministerstwo spraw zagranicznych. Słynna rzeczniczka tej zorganizowanej grupy wywiodła nawet z inicjatywy miłośników ukraińskiego barszczu błyskotliwy dowód na ukraiński nazizm.

To, co z tego przebiło się do globalnej infosfery, to informacja, że jest gdzieś tam daleko jakiś kraj, który chce wpisać na listę UNESCO swoje skądinąd mało komu znane narodowe danie, a Rosja mu tego zabrania i neguje istnienie i potrawy, i kraju. A to już wzbudzało ciekawość, odbiło się na świecie głośnym echem i dotarło do wielu ludzi zupełnie nieinteresujących się polityką i nie mających żadnej orientacji w polityce i stosunkach narodowościowych Europy Wschodniej.

Z grubsza rzecz biorąc, dzięki szeroko zakrojonej akcji rosyjskiej, ludzie w wielu krajach po raz pierwszy w życiu usłyszeli, że istnieje takie państwo jak Ukraina. Z drugiej strony nieprzypadkowo komentarze na ten temat zamieszczano akurat w „New York Times”. W wielokulturowej społeczności Nowego Jorku charakteryzującej się między innymi kulinarną różnorodnością i swobodnym łączeniem motywów kulinarnych z całego świata (o „polskiej” kuchni koszernej już pisaliśmy), taka tematyka była szczególnie chwytliwa. Skojarzenia z kuchnią ży-



dowską są z kolei w Nowym Jorku na tyle silne, że barszcz nie był abstrakcją, a każdy czytelnik NYT doskonale wie, a raczej czuje, że kulinarna ksenofobia to konstrukcja, jak to w tym mieście mówią *weird as hell*, czyli delikatnie mówiąc, bardzo dziwaczna.

W 2022 r. UNESCO w ekspresowym tempie zarejestrowało tradycje ukraińskiego barszczu w trybie ochrony zagrożonego dziedzictwa. Od kilku miesięcy trwała już wielkoskalowa wojna i to kulinarne zwycięstwo, choć podchwytywane w mediach jako dobra wróżba na przyszłość, nie przykuwała już takiej uwagi jak wcześniej. Barszcz jest jednak dalej ważnym symbolem narodowej jedności i trzeba przyznać, nadaje się do tego doskonale. Wszystkim w Ukrainie znany, wzbudza zawsze pozytywne emocje, jest jednak wszędzie trochę inny. Gdy dwa lata temu urządziliśmy w Grucznie polsko-ukraińską



Wielkanoc, jednym z głównych dań serwowanych na tej imprezie był oczywiście ukraiński barszcz. Mimo całego kulinarnego doświadczenia i zdawało mi się, obycia z kuchnią i jej różnorodnością, nie mogłem jednak ukryć zdziwienia, gdy zaserwowano mi bladoróżowy wywar na wieprzowinie, rodzaj tłustej, pożywnej i w sumie smacznej zupy czosnkowej, lekko tylko muśniętej paroma plasterkami buraczków... Ukraiński kucharz na moje nieśmiałe pytania, skąd taki przepis, wzruszył tylko ramionami, tłumacząc mi, że to akurat prawdziwy, kijowski barszcz, a nie ten lwowski...

Nieco podobną przygodę miałem w Krakowie, gdzie udało mi się po długim poszukiwaniu znaleźć miejsce, w którym podawano pierogi ze słodką kapustą, a więc takie jakie robiła moja babcia, mama, wszystkie ciotki i cała rodzina z Podola. Przed laty często podawano je we Lwowie, ale tamtejsi kucharze wytłumaczyli mi kiedyś, że robią już tylko pierogi z kiszoną kapustą, bo takie chcieli jeść polscy turyści. Gdy pytałem w różnych miejscach w Polsce i w Ukrainie o pierogi ze słodką kapustą, z reguły odpowiadało mi ależ tak, oczywiście, wszystko mamy, po czym raczono mnie tym powszechnie znanym dziwactwem z kapustą kiszoną. Zmieniłem więc strategię poszukiwań i pytałem o pierogi z kiszoną kapustą. W przypadku pozytywnej odpowiedzi szybko dziękowałem i jeszcze szybciej się oddalałem. Jakaż była więc moja radość, gdy właściciel ukraińskiego baru gdzieś na obrzeżach starego miasta w Krakowie zniecierpliwiony wygłosił ostrą w tonie tyradę, że nigdy pierogów ze zgniłą kapustą nie jadł, nie będzie jadł i nie zamierza tym męczyć swoich klientów. Z radością usiadłem więc przy nakrytym ceratą malutkim stoliku i pożądliwie rzuciłem się na podane mi pierogi z kapustą. Pilnie obserwujący moje reakcje właściciel, kucharz i kelner w jednej osobie czujnie zapytał, co nie smakuje? W sumie nie były złe, więc pochwaliłem, ale wyznałem jednak, że są zupełnie inne od pierogów babci i mamy. No i skąd w ogóle pomysł, by do kapuścianego farszu dodawać jeszcze pomidorów i papryki? A z Doniecka, usłyszałem, u nas tak robią...

Ta pierogowa z kolei historia ma też swój polityczny, a nie tylko nostalgiczny i indywidualny wymiar. Po pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę, w atmosferze solidarności z napadniętymi sąsiadami zaczęto w Polsce masowo zmieniać nazwę pierogów ruskich, którą zastępowano pierogami ukraińskimi, gospodarskimi, swojskimi i nie wiadomo jeszcze jakimi. Co ciekawe, wzbudziło to dyskusję, w której przeciwnicy tej zmiany wskazywali, że „ruski” to



znaczy (choć raczej znaczyło) „ukraiński”, odnosi się do Rusi (tej prawdziwej a nie moskiewskiej) czy województwa ruskiego (w sumie są to jednak różne znaczenia). Niby drobiazg, a wzbudzało to emocje i prowokowało do prawdziwych kłótni, którą z właściwą sobie gracją próbowali i próbują dalej podgrzewać niebezinteresowni internetowi miłośnicy podstarzałego donosiciela z KGB.

Ja sam mam z tym pewien kłopot, związany np. z moją ciekawością na widok „pierogów gospodarskich” w jakimś menu, które z zaciekawieniem studiowałem podczas jednego z naszych filmowych wypadów. Gdy wytłumaczono mi, że chodzi o pierogi nadziewane zimniakami z serem, które zresztą bardzo lubię, mój entuzjazm poznawczy szybko opadł. Dla większości ludzi „ruski” to jednak znaczy rosyjski i cokolwiek by myśleć o historii i pochodzeniu tego określenia, to jest to prosty i bezsporny fakt, w końcu nikt ruskich nie zamawiał, same przyszli...

A gdy obrońcy „ruskich” pierogów wskazują na historię, przedrozbiorowe województwo ruskie i dawną Ruś Kijowską, to przypominam sobie, że jeszcze w „Reducie Ordonu” „artylerii ruskiej ciągną się szeregi”. Bezkompromisowych krytyków utożsamiania ruskich z rosyjskimi uszczypnąłbym jeszcze, przypominając wyzwanie Klucznika: „Bracia! chcecie bój z ruskim wieść imperatorem, / A boicie się wojny z Soplicowskim dworem?”. I dodając, że chyba nie chodzi tu o żadnego imperatora ukraińskiego...

Można by tu dodać całą serię cytatów, np. wyznanie kapitana Rykova „Wy Polaki, ja Ruski” czy przewidywania Klucznika, że car „ruski” będzie

walczył z cesarzem francuskim. Również dawne, historyczne określenia kulinarne odnoszą się często do Rosji (Moskwy), a nie Ukrainy. Jan Szyttler, autor pierwszych popularnych, pisanych dla gospodyń książek kucharskich kazał np. przygotowywać chodnik „ruski” na kwasie petersburskim (kwasie chlebowym), rosyjski jest jego „ruski” chłodnik. I u Szyttlera, i potem innych autorów, w tym także słynnej Ćwierczakiewiczowej „ruskie” pierogi to rosyjskie pierogi drożdżowe (no bo skąd niby mieli znać naszą definicję?). Mogły być z mięsem, kapustą (słodką albo kiszoną), rybą, serem, powidłami, ale nie przewidywano w nich połączenia ziemniaków z twarogiem.

Co z tego wynika? Historia nie jest odwzorowaniem współczesności, a pełna emocji dyskusja o pierogach „ruskich”, mimo historycznych odniesień, z historią ma niewiele wspólnego.

Innym przykładem politycznego i propagandowego odwołania się do tradycji kulinarnych we współczesnych dyskusjach była straszna wizja jedzenia „robaków”, zakazu jedzenia mięsa i światowego, a przynajmniej europejskiego spisku wegan wymierzonego w narodowych wielbicieli schabowego, golonki i kiełbasy. To zagrożenie, które istnieniu naszego Narodu miało przynieść smutny i szybki kres, trwało raptem tydzień lub dwa. Nie chodzi nawet o to, że owady to nie to samo, co robaki, Europa nie nakazywała nam wcale tych owadów jeść i nie zakazywała nam też jedzenia mięsa (no bo dla czego tacy np. Francuzi mieliby śnić o zakazaniu steków, świątecznego kapłona czy kurczaka z Bresse).



Frapujące jest tu powoływanie się bojowników o wolność od owadów zarazem miłośników mięsa na naszą narodową i religijną tradycję. Przypomina to trochę przerażenie jednego z liderów „Konfederacji”, który nie chciał w piątek jeść potraw wegańskich, bo przestrzegał postu i musiał zjeść rybę... Bo choć Bóg wyraźnie poinstruował Mojżesza, że „wszystkie inne gatunki latających owadów czworonożnych będą dla was obrzydliwością”, to przecież kilka gatunków szarańczy uznano za jedzenie jak najbardziej dla narodu wybranego odpowiednie. Szarańczą żywił się Jan Chrzciciel, a jedzenie mięsa było w tradycji chrześcijańskiej czymś złym, skojarzonym z uczciami ku czci pogańskich bogów, nieczystością i okrucieństwem. Szczególnie widoczne jest to w polskiej tradycji chrześcijańskiej i dyskusjach toczonych z protestantami. Ci ostatni, według obrońców staropolskiego postu, uwielbiają jeść mięso z powodu wrodzonego obżarstwa i grzesznej, rozwiązłej natury. Gdyby wczytać się w co bardziej szczegółowe fragmenty wywodów sarmackich apologetów postu, to moglibyśmy odnieść wrażenie, że są to argumenty radykalnych zwolenników wegetarianizmu. Ksiądz kanonik Hieronim Powodowski dowodził np., że ludzie jedzący mięso są z natury okrutni, podobni do drapieżnych zwierząt. Mając zwierzęcą naturę, zabijając zwierzęta, dowodzą nie tylko swego okrucieństwa, ale jedząc mięso zwierząt stają się właściwie kanibalami („samojedziami”).

Nie chodzi mi oczywiście o dowiedzenie tego, że tradycja polska czy zwłaszcza katolicka prowadzi wprost do wegetarianizmu, ale na pewno charakteryzowała się, z powodów religijnych i moralnych, długą i nieprzejdłą niechęcią do mięsa. Powstrzymywanie się od jedzenia mięsa było tu

cnotą, czymś wręcz heroicznym i przepustką do nieba. Piotr Skarga o świętej Jadwidze Śląskiej pisał, że „Nieposłuszne duszy chuci tłumiąc i gasząc, święta Jadwiga posty co dzień czyniła, chyba w niedzielę i w wielkie święta dwakroć jadła; przez czterdzieści lat nie tylko mięsa, ale i tego, co mięsną tłustością okraszonego było, nie jadła”.

Polscy księża szczególnie przyjemność znajdowali w przypomnieniu protestantom frazy z listu św. Pawła do Rzymian, że „Dobrze jest nie jeść mięsa i nie pić wina”, ucinając co prawda ciąg dalszy tego zdania i pomijając kontekst tego stwierdzenia, które dotyczyło uczestnictwa chrześcijan w publicznych, pogańskich ucztach.

Stąd też bohaterskie starcie obrońców polskiej i katolickiej tradycji z owadami na talerzu wzbudzało już nawet nie tyle uśmiech, ile zaciekawienie. Swoje twarde nie dla skrytych i jawnych owadożerców głosili oni bowiem znad talerzy ze stekami wołowymi. Nie pamiętając, że zaczynał się właśnie Wielki Post.

Historia pokazuje, czym jest kuchnia w dzisiejszym świecie, jakie może wzbudzać emocje i jak może być wykorzystywane dla ideologicznych i politycznych sporów. Przygotowując nasz serial, kilka razy prosiliśmy o wypowiedzi i komentarze profesora Fabio Parasecoli z Uniwersytetu w Nowym Jorku, który przez kilka lat prowadził badania nad zmieniającym się w ostatnich latach stosunkach Polaków do jedzenia. Wskazywał na inne znane np. w jego rodzinnych Włoszech przykłady ideologicznych manipulacji związanych z jedzeniem. Frapujące były dla nas zwłaszcza podejmowane przez polityków motywy wykorzystywania tradycji i historii, wyraźnie wskazujące, że głośni miłośnicy tradycji i historii mieli o niej zwykle blade co najmniej pojęcie. Najbardziej znane włoskie hasło brzmiało *si alla polenta, no al cous cous* (tak dla polenty, nie dla kuskus), z którego politycy Ligi Północnej próbowali zrobić łatwo zrozumiałą i wzbudzającą emocje nacjonalistyczny slogan. Wśród historyków jedzenia taka deklaracja wzbudza jednak uśmiech od ucha do ucha. Polenta, czyli potrawa z mąki lub kaszki kukurydzianej, choć rzeczywiście stała się jednym z symboli kuchni włoskiej, jest w niej jednak czymś stosunkowo nowym, zapożyczeniem czy zastosowaniem egzotycznego, amerykańskiego zboża do włoskich tradycji kulinarnych. A kaszka z pszenicy, jaką jest kuskus, znana jest w Italii od ponad tysiąca lat...

Historia, wbrew pozorom, nie nadaje się do politycznej propagandy. No chyba, że ktoś jej nie zna...

Zupa ucha ruska

Zupa ucha w Rosji na najpierwszych stołach bywa dawana, robi się ona z ryb zwanych szterlami. U nas zaś z przyczyny niedostatku tych ryb z jeźgarzów i miętuzów. Proporcja np. na osób 20.

Wygotowuje się bulon z dwóch cielących łopatek i tyleż kur z dodaniem nieco korzeni i nieco włoszczyzny; tak wygotowany, gdy się odcedzi, gotują się w nim z pół kopy jaźgarzów i tyleż miętuzów, które powinny być dobrze oczyszczone (z tych ostatnich wyjmują się wątróbki), skoro się ugotują, wyciskają się przez serwetę do saganka, do którego kładą się wątróbki, (wprzód ociągnięte w kwaskowatej wodzie, czyli cytryną zaprawionej) kapary, oliwki, szampiony, trufle, włoszczyzna tresowana, farsz z ryby zrobiony, grubo krajany szczaw, astragon. Przy wydaniu leje się butelkę wina szampańskiego i kładą się dwie cytryny w talerzyki pokrajane datego, iżby zupa nieco kwaskowa była. Zagotowawszy, wydać do stołu. Zupa ta nazwisko swoje bierze od tego, iż jest zawsze mętna.

Zupa chłodnik ruski

(Proporcja np. na osób 16). Bierze się cztery kwarty dobrego kwasu petersburskiego, kładzie się do niego nieco odgotowanych młodych buraczków, pokrajanych osiem ogórków świeżych, zielonego estragonu, kopru, trybulki, która powinna być drobno pokrajana i z solą przetarta; do czego wlać należy bulonu z ryb świeżych. Wydając takową zupę do stołu, należy włożyć kawał lodu, oraz pokrajanej w sztuuki i na zimno zgotowanej jesiotriny.

J. Szyttler, *Kucharz dobrze usposobiony*, Wilno 1830.

Pierozki ukraińskie

Wziąwszy lekkie cielące z sercem, zgotować zupełnie na miękko, wybrać na przetak, aby wilgoć ściekła, usiekać drobno na kaszę, wątróbkę zaś razem zgotowaną utrzeć na tarce. Wziąć obficie masła świeżego, usmażyć w niem drobno usiekanej cebuli, włożyć lekkie usiekane z utartą wątróbką, dodać tartej muszkatowej gałki, nieco rozenek drobnych, oczyszczonych, trochę cukru, soli w miarę, jaj cztery, wymieszać, nakładać w ciasto powyższym sposobem zrobione, i piec na blasie porobiwszy podług woli kształt pierożków. Do tych pierożków, już nie daje się *à part* [osobno, z boku] masło i śmietana, lecz podostatkiem powinno być tych artykułów w zaprawie.



Pierogi ruskie w cieście drożdżowym

Wziąć przykład, na osób 12, chcąc mieć pieróg, mąki kwart dwie, kieliszek dobrych, gęstych drożdży, żółtków z jaj 15, masła półkwarty, mleka trzy kwaterki, nieco soli, łyżkę stołową cukru, wyrobić dobrze ciasto, gdy podrośnie, przemieścić, i uformować pieróg tym sposobem: Rozwałkować ciasta na stolnicy, do grubości pół cala, wielkości zaś półtarka-sza, rozciągnąć po cieście cielącą wątróbkę usiekaną z dodaniem zaprawy korzennej, na ćwierć cala grubości, na wierzch jaja zgotowane zaprawne z mózganiami, na to zaś kaszę w bulonie na sypko zgotowaną lub ryż, brzegi oblepić ciastem, sformować pieróg, gdy podrośnie ciasto na blasie, pożyngowanej masłem, odpiec w gorącym piecu do koloru rumianego, i dawać w całku gorący na blacie, nakroiwszy w porcyjki na każdą osobę.

Przyprawa wątróbki do pieroga: Wziąć cielące dwie wątróbki, oczyścić je z żył zupełnie, pokroić drobno, dodać funt skrojonej świeżej słoniny, trzy usiekane cebule, i na małym ogniu bez płomienia duszyć pod pokrywą do miękka, nieco z początku podlawszy bulonu, potem usiekać na stolnicy z dodaniem nieco angielskiego i prostego pieprzu, i cokolwiek majeranu.

Przyprawa jaj do pieroga: przetrzeć dwie pary mózgów wołowych na rzadkie sito, aby plewka na sicie pozostała, (jeżeli mozgi cielące należy wziąć ich więcej), usmażyć w kwaterce masła, drobno usiekanej cebuli łyżkę, włożyć do niego przetarty mózg, i mieszając na żarze przez połowę podsmażyć, dodać jaj 12 zgotowanych i usiekanych, trochę gałki muszkatowej tartej lub muszkatowego kwiatu, wbić jaj trzy całych, posolić i wymieszać.

Ryż lub kasza drobna gryczana do pieroga ruskiego: chcąc, aby pieróg był gustowny, należy w każdej przyprawie nadać smak oddzielny. Wygotowawszy bulon z kości razem z suszonymi grzybami, z dodaniem włoszczyzny, nieco pieprzu angielskiego, gdy bulon przez kilka godzin wygotowany nabierze smaku, odcedzić, dodać w proporcję masła, i zagotować w tym kaszę, czyli krupy przetarte jajkami i wysuszone, przykryć szczelnie, i wsunąć w żar, aby doszła.

Ryż do pierogów: Wziąć na takową proporcję pieroga ryżu funt i ćwierć, wysiać na sicie piasek, przebrać, aby nie było kamyków, wypłukać, wybrać z wody do rondelka, nalać wygotowanym z kości bulonem tłustym, dodać łyżkę masła, grzyby usiekać, posolić w miarę, i wstawić w piec gorący pod pokrywą, aby się dobrze ryż utuszył.

Ciasto angielskie na pierog robi się następnym sposobem: Dla odmiany, lub w niedostatku drożdży,

jeżeli chcemy mieć pieróg na osób 6 lub 7, należy wziąć mąki półtory kwarty, masła kwaterkę, żółtków 8, a 2 całych jaj, trochę śmietanki, rozrobić to wszystko dobrze, ciasto powinno być gęste, nieco zasolone, rozwałkowane, grubości dwa razy jak rubel, w to ciasto kładą się warstwy przypraw, i odpieka się powyższym sposobem. Tenże pierog, może się robić z ciasta francuskiego, a za nadzienie służyć może zwierzyna.

J. Szyttler, *Skrzętna gospodyni, czyli tom drugi kucharki oszczędnej*, Wilno 1846.



Prof. Jarosław Dumanowski – kierownik Centrum Dziedzictwa Kulinarne na Wydziale Nauk Historycznych UMK

Winicjusz Schulz

Biały Toruń

Byłem w Holandii w Toruniu. Brzmi to dziwnie, nieprawdą? Ale tak było. Wprawdzie temu holenderskiemu Toruniowi daleko wielkością i bogactwem zabytków do naszego, lecz – jak się potem okazało – też ma ciekawe i długie dzieje, w których nawet pojawia się „nasz” Toruń.



Ale po kolei. Ten holenderski Toruń (Thorn) znajdziecie w Limburgii, czyli południowej Holandii, czy – jak to teraz powinno się pisać – w południowych Niemczech. Miejscowość jest sporą turystyczną atrakcją, a Holendrzy nazywają je „białym miasteczkiem” – z racji dominującego tam koloru zabudowań.

Holenderski Toruń jest od polskiego dużo starszy. Jego dzieje sięgają 975 roku, gdy ustanowiono tu opactwo. Potem tamten Toruń stał się księstwem wchodzącym w skład Świętego Cesarstwa Rzymskiego. I tak było aż prawie do końca XVIII wieku. W 1797 roku Toruń zdobywają Francuzi i likwidują księstwo. Miasto traci na znaczeniu i staje się tylko lokalną atrakcją. Dziś ma zaledwie ponad 2,5 tysiąca mieszkańców.

Jak już wspomniałem, „nasz” Toruń ma też swój epizod w dziejach tego holenderskiego. Nie udało



mi się ustalić, kto i kiedy (było to prawdopodobnie w czasie, gdy Polska była pod zaborami), ale w pewnym momencie dziejów Holendrzy dowiedzieli się, że w Prusach jest miasto o nazwie Thorn (tak wówczas po niemiecku nazywał się Toruń). Zainteresowali się nim bliżej i postanowili to i owo zapożyczyć z naszego herbu. Szczególnie spodobał im się anioł. I tak to do dziś w herbie Torunia z Niderlandów jest anioł – podobnie jak w herbie Torunia nad Wisłą.

Gdyby ktoś z Państwa miał ochotę pospacerować uroczymi uliczkami holenderskiego Torunia, serdecznie polecam: prowincja Limburgia, gmina Maasgouw.

Zdjęcia: Winicjusz Schulz



Sebastian Żurowski

Ortografia, głupcze!

Tematy językoznawcze rzadko trafiają do serwisów informacyjnych. Ale pierwsza od mniej więcej stu lat kompleksowa kodyfikacja polskiej ortografii takim tematem się stała.

Oczywiście prasa w nagłówkach raczej przedstawiała to jako jakąś sensację: „Trzeba się będzie uczyć wielu rzeczy od nowa”, „Rewolucja w ortografii”, „RJP ogłasza rewolucję. Oberwie się też uczniom?” itp., itd. Tymczasem żadna „rewolucja” w ortografii nie nastąpiła. Moglibyśmy o niej mówić, gdybyśmy np. od 1 stycznia 2026 roku mieli przejść na cyrylicę albo chociaż pozbyć się ó, rz i ch. Co zatem właściwe się stało?

Po pierwsze, Rada Języka Polskiego pierwszy raz od 90 lat zredagowała dokument, który nie jest zbiorem reguł ortograficznych przygotowanym prywatnie przez autorów jakiegoś słownika ortograficznego, a oficjalnym dokumentem (w tym wypadku Polskiej Akademii Nauk, w 1926 roku ortografię reformowała jeszcze Polska Akademia Umiejętności), przedyskutowanym w szerszym gronie językoznawców, których skupia RJP. To bardzo ważne, bo wszyscy piszący po polsku od teraz mają łatwy dostęp do jednolitych („oficjalnych”) zasad.

Po drugie, w tym zbiorze reguł rzeczywiście wprowadzono kilkanaście istotnych zmian w stosunku do dotychczasowej praktyki. I to właśnie te zmiany (dla uproszczenia wyliczone przez RJP w komunikacie rozesłanym do mediów) stały się kanwą sensacyjnych nagłówków. Korekty dotyczą tzw. zasad konwencjonalnych, czyli tych, w których arbitralnie uznaje się, że coś powinno się pisać wielką literą, a coś małą; że coś powinno się pisać łącznie, a coś rozłącznie. Nie jestem w stanie omówić ich wszystkich, ale warto wskazać, że część zmian jest wręcz oczywista, bo po prostu sankcjonuje to, jak faktycznie Polacy piszą. Myślę tu przede wszystkim o wprowadzeniu pisowni wielką literą pojedynczych egzemplarzy nazw wyrobów przemysłowych i zarzucenie rozróżnienia marka (wielka litera) – przedmiot tej marki (mała litera). Od 1 stycznia 2016 roku w każdej sytuacji poprawna będzie pisownia wielką



literą (na marginesie dodam, że w *Dobrym słowniku* postulowaliśmy taką pisownię już 10 lat temu).

Z drugiej strony niektóre zmiany są może nie tyle błędne, co jakby nie do końca przemyślane w każdym możliwym aspekcie. Do tej pory przymiotniki dzierżawcze pochodzące od nazw własnych (odpowiadające na pytanie czy?) zapisywane były wielką literą, a jakościowe (*jaki?*) – małą. Czasem jest to trudne do rozróżnienia, np. *filozofia Platońska* ('filozofia samego Platona') czy *filozofia platońska* ('filozofia nawiązująca do Platona'). Zgodnie z decyzją RJP nie trzeba będzie już się zastanawiać nad takimi niuansami i zawsze trzeba będzie sięgać po małą literę. Tyle że wprowadzono niefortunny wyjątek: „Przymiotniki tworzone od imion (rzadziej od nazwisk), zakończone na -owy, -in(-yn), -ów, mające charakter archaiczny, będą mogły być zapisywane małą lub wielką literą, np. *jackowe dzieci* lub *Jackowe dzieci*; *poezja miłoszowa* lub *poezja Miłoszowa*; *zosina lalka* lub *Zosina lalka*; *jacków dom* lub *Jacków dom*”. To był błąd. Dlaczego? Dlatego że np. Szekspirowi „odbiera się” autorstwo utworów (nie będzie można napisać *Szekspirowski poemat*), ale jakkolwiek Maciek opiekujący się kotem nadal dzierży prawa właścicielskie (bo można będzie napisać *Maćkowy kot*). Ponadto RJP wymienia konkretne typy zakończeń, ale istnieją takie przymiotniki dzierżawcze, które nie kończą się ani na -owski (tylko mała litera), ani na -owy,

-in(-yn), -ów (ewentualnie wielka), np. -ski (*koncepcja Cycerońska*). Te inne możliwe zakończenia „wypadły z systemu”.

To tylko dwie zmiany, kilka dalszych także jeszcze można podawać w wątpliwość (a pod kilkoma podpisać się obiema rękami). Mamy na to jeszcze kilkanaście miesięcy. Tymczasem warto też zauważyć, że chyba zupełnie przypadkiem RJP rozstrzygnęła także spór tych, których uważają, że poprawne jest

połączenie *duża litera*, z tym, którzy uważają, że poprawna wersja to *wielka litera*. Tych pierwszych powinno zasmucić, że w regułach zredagowanych przez RJP mówi się wyłącznie o *wielkiej literze*.



Dr Sebastian Żurowski — Wydział Humanistyczny UMK

Józef Gawłowicz

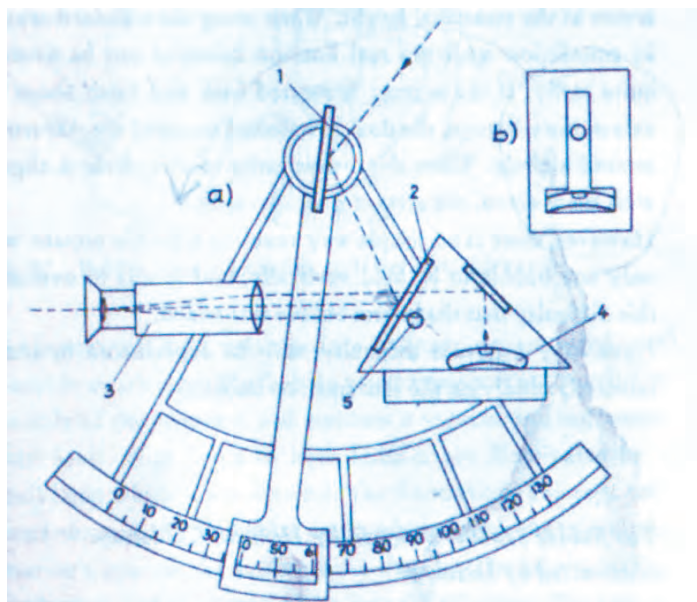
Trzy kątomierze lusterkowe

Znając zasadę działania sekstantu, warto przyrzeć się jego dwu zaledwie wadom. Zaczniemy od praktyki na „Darze Pomorza”, kiedy jako „kandydat na człowieka” po raz pierwszy w sierpniu 1959 r. zmierzyłem tym instrumentem wysokość słońca, zostając precyzją kątomierza lusterkowego zadowolony, lecz gdy widnokrąg był zamglony, pomiar był błędny.

Stopień zawiera 60 minut kątowych, zaś ta minuta na powierzchni oceanu to 1852 metry, czyli mila morska. Już jako „skończony człowiek” po zaliczeniu rejsu kandydackiego w pierwszym semestrze Szkoły Morskiej zauważyłem, że chmury zasłaniają ciała niebieskie, ale kiedyś namierzają je „radiowe oczy nawigatora”, ale z horyzontem coś trzeba zrobić – wynaleziono więc sekstant ze sztucznym horyzontem, zaś sposób regulacji równoległości lusterek oraz ich prostopadłości do ramy przyrządu czynił instrument dokładnym jak sztucer afrykańskiego selekcjonera dzikich zwierząt z tą różnicą, że nie zabijałem żadnego stworzenia.

W rok później ugruntowaliśmy sprawność w rejsie „Darem Pomorza” do Neapolu, a w 1961 r. trafiłem na praktykę jako marynarz na parowiec „Sławno” pływający w trampingu europejskim. W czasie tej praktyki na „Sławnie”, dowodzonym przez charakterystycznego kapitana Zbigniewa Szymańskiego, doszło do ważnego wydarzenia: na małym statku „Nogat” pękł wał śrubowy, a jego kapitan, nie mo-

gąc żeglować, zwrócił się przez radio o pomoc. Ratowanie uszkodzonego statku na morzu jest wielką przygodą i równocześnie wspaniałym zawodowym sprawdzianem. Powodzenie akcji zależy zarówno od kwalifikacji kapitana, jak i od zgrania załogi. Ratownictwo jest sówicie nagradzane, oczywiście pod warunkiem, że akcja zakończy się pełnym sukcesem. We flotach świata obowiązuje angielska reguła *no cure – no pay*, co oznacza, że ani za największe nawet poświęcenie, ani za stracony czas ratownicy nie dostaną nawet pensa, jeśli ratowanego statku nie uda się odholować w bezpieczne miejsce. Należało szybko podejść do „Nogata”, aby podać mu linę holowniczą. Była to operacja wymagająca dużego kunsztu w kilku dziedzinach: kapitan musiał podejść jak najbliżej bezwładnej jednostki, sternik i maszynownia musieli precyzyjnie wykonywać rozkazy „Starego”, a marynarze na rufie „Sławna” równie precyzyjnie podać hol na dziób „Nogata”. Nasz starszy mechanik wysłał najinteligentniejszego praktykanta Andrzeja Kozaka (mojego kolegę z Wydziału Mechanicznego) na rufę z krótkofalówką, żeby meldował do siłowni, kiedy zwiększać lub zmniejszać obroty śruby napędowej „Sławna”, aby akcja poszła sprawnie. Andrzej działał z dużym wyczuciem, sugerując dodawanie lub zmniejszanie o kilka zaledwie obrotów. Gdy na polerze błyskawicznie obłożyłem kilka „óseme” podanego holu, wszyscy odetchnęliśmy z ulgą, włącznie z kapitanem Szymańskim, obserwującym z mostku całą akcję przez lornetkę. Wkrótce też



Fot. 1 W części „a” pokazano drogę promienia od ciała niebieskiego, zaś w „b” lusterko nieruchome z dwoma bąbelkami powietrza jak w poziomicach (pkt 1 to lusterko ruchome na alidadzie, pkt 2 — nieruchome, pkt 3 lunetkę, 4 i 5 bąbelki).

bezpiecznie przyholowaliśmy „Nogata” do najbliższego portu.

Trzy dni później znów wypłynęliśmy w morze, a ponieważ w PŻM policzyli honorarium za holowanie i przekazali je kapitanowi, ten sporządził listę nagrodzonych

Zdziwiliśmy się, gdy dwu „ratowników” kapitan wyróżnił szczególnie – wezwał mnie do siebie i w cztery oczy wręczył równowartość dziesięciu marynarskich pensji, podobnie nagrodił Andrzeja. Zaznaczył, że docenił podjęte przeze mnie ryzyko i szybkość, z jaką obłożyłem hol. A w przypadku mego kolegi mechanika docenił perfekcję Andrzeja przy dobieraniu obrotów tak, aby hol ciągnący „Nogata” napręzał się stopniowo i nie pękł.

Kapitan dodał jeszcze, że „urawniłowka” to klęska naszego ustroju, gdyż hamuje inicjatywę. Zastrzegł, aby za jego życia nie ujawniać tego gestu, ponieważ ewentualna zawiść pozostałych marynarzy mogłaby mu znacząco zaszkodzić. To samo musiał zastrzec Andrzejowi, gdyż nasza rozmowa wyglądała tak – Andrzej zapytał:

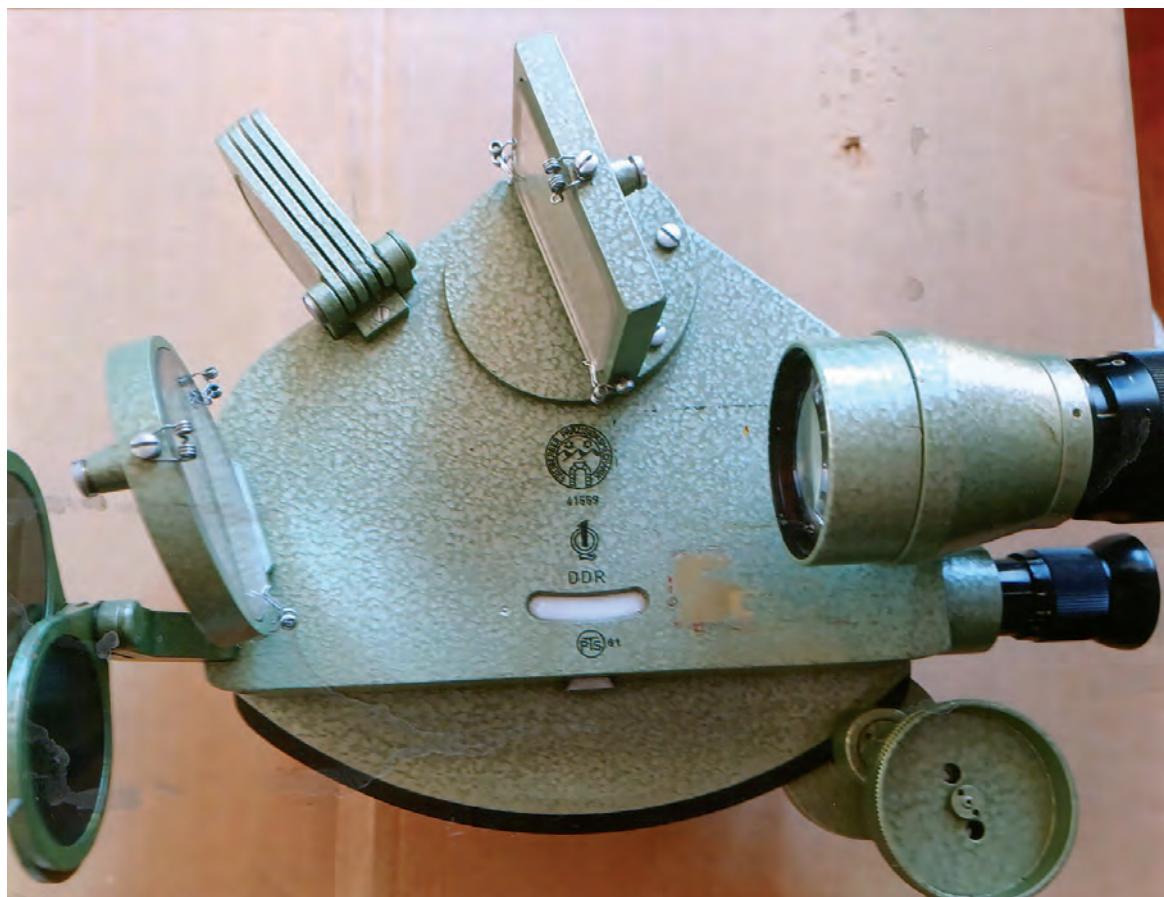
- Byłeś u „Starego”?
- Byłem. A ty?
- Też byłem.

Pod koniec wakacji „Sławno” zawinęło do portu Warnemünde w tak zwanej wówczas Niemieckiej Republice Demokratycznej. Odwiedziłem miejscową morską Ingenieurschule, gdzie młody doktor

Ulrich Scharnow z dumą oprowadził mnie po świetnie wyposażonych gabinetach i gdy zwierzyłem się, że moim hobby jest astronawigacja, pokazał mi niezwykle sekstant ze sztucznym horyzontem wyprodukowany w NRD. Jego zaletą były doskonałe soczewki Zeissa z Jeny. Była to modyfikacja wynalazku portugalskiego admirała Gago Coutinho, który podczas podróży samolotem z Lizbony do Rio de Janeiro namierzał nim małe „Wysepki Św. Piotra i Pawła” oraz „Fernando Noronha”, będąc zaskoczonym dokładnością instrumentu. Według niemieckich źródeł taki sekstant oddano do użytku 13.12.1926 r. Powszechnie wiadomo o sztucznym kursie dolara po wojnie (w okresie tzw. rozwiniętego socjalizmu). Dotyczyło to zarówno polskiej złotówki, jak i energdowskiej marki. Kiedy podano mi cenę sekstantu – kupiłem go bez namysłu i przyniosłem na statek. Na uczelni wtajemniczyłem w mój zakup (jako początek kolekcji) bardzo uzdolnionego kolegę Ryszarda Choińskiego. Schemat instrumentu przedstawia fot. 1.

Podczas mojej trwającej czterdzieści trzy lata przygody na morzu (która dzięki kontaktom kolekcjonerskim wyglądała jak piękny film) miałem okazję obejrzeć i zakupić najróżniejsze wspaniałe instrumenty nawigacyjne, a na przełomie listopada i grudnia 1980 r., zawiąawszy do Baltimore po pszenicę trzydziestoczerotysięcznikiem „Powstaniec Wielkopolski”, za pośrednictwem agenta zaprosiłem na statek Saula Moskowitza. Był on już wtedy cenionym w gronie fachowców ekspertem, publikującym w „Navigation” (ten świetny kwartalnik prenumerowała do swojej biblioteki szczecińska Wyższa Szkoła Morska).

Jak wiadomo, „Powstaniec Wielkopolski” był chlubą nie tylko Polskiej Żeglugi Morskiej, ale też całej naszej floty. Pod pokładem nadbudówki miał prawdziwą salę gimnastyczną, w której załoga namiętnie grywała w siatkówkę, a po meczu i skorzystaniu z prysznica można było wyjść na otwarty pokład z basenem i w wodzie rozluźnić mięśnie. Takich jednostek dziś się już nie buduje. Ponieważ wszystkim rządzi biznes, niewiele współczesnych statków ma choćby kabinę armatorską. Na „Powstańcu Wielkopolskim” były dwie takie kabiny: jednoosobowa z łazienką i salonikiem (dla specjalnego gościa) oraz dwuosobowa. W dodatku dzięki kontaktom pierwszego dowódcy tej jednostki, pani kapitan żegluga wielkiej Danuty Kobylińskiej-Walas, jako jedyny z trzydziestoczerotysięczników zbudowanych przez Stocznnię Szczecińską statek ten został



Fot. 2 Fotografia sekstantu wyprodukowanego we Freiburgu, wyposażonego w optykę Carla Zeissa z Jeny oraz wprowadzonego do handlu dnia 8 czerwca 1961 r. z indeksem N.41 559 oraz certyfikatem przeglądu ważnym 3 lata.

gustownie udekorowany kilimami, rzeźbami, a nawet witrażami autorstwa uznanych artystów. Saul Moskowitz był tym wystrojem zachwycony, rzucił również kilka komplementów na temat technicznej doskonałości statku zbudowanego całkowicie w Polsce oraz mojej kolekcji, która ozdabiała salon kapitański. Po polskim obiedzie na jego zaproszenie zwiedziliśmy sławną Walters Art Gallery – cztero-piętrowe gmazyszko wraz z nietuzinkowymi zbiorami podarowanymi miastu Baltimore przez sławnego biznesmena Henry'ego Waltersa, będącego między innymi właścicielem połowy złota Scytów zakupionego w tajemnicy od bolszewików po załamaniu się tzw. NEPu. Saul znał wiele szczegółów z życia prywatnego kolekcjonerów amerykańskich. Kolekcjonerzy na świecie to według niego mafia, ale w dobrym znaczeniu tego słowa, bo wspierają się wzajemnie pod każdą szerokością geograficzną i do ostatniego tchnienia robią wszystko, aby powiększać swoje zbiory. Na statku obejrzelśmy zdjęcia jego imponującej kolekcji, a przed odjazdem Saul podarował mi cyrkiel nawigacyjny z połowy XIX wieku, który dałem później Markowi Czasnojciowi do

sfotografowania na okładkę mojej książki *Nawigacja wczoraj i dziś*, wydanej ze wstępem kapitana Krzysztofa Baranowskiego.

Saul podczas swych podróży szperał w antykwiatach, brał udział w aukcjach starych instrumentów i zbierał wszelkie możliwe informacje o każdym z nich (stąd fachowość jego artykułów), a także naklejki handlowe (*trade labels*), gdyż o wartości antyków wyższego lotu decyduje również ich proveniencja.

Okolo roku 1848, kiedy Kalifornię ogarnęła gorączka złota, nagle wzrosło zapotrzebowanie na szybkie klipry, dzięki którym można było skrócić podróż z Nowego Jorku do San Francisco. W tym czasie rozpoczął się dla stoczni z Bostonu okres największej *prosperity*, a najstawniejszym konstruktorem żaglowców był Donald McKay. Jego „Flying Cloud” („Latająca Chmura”) była rekordzistką na trasie Nowy Jork–San Francisco. Z kolei kliper „Lightning” („Błyskawica”) okazał się najlepszy na trasie australijskiej i został uznany za najszybszą jednostkę tego typu na świecie. W drodze z Liverpoolu do Melbourne pobił on absolutny światowy rekord

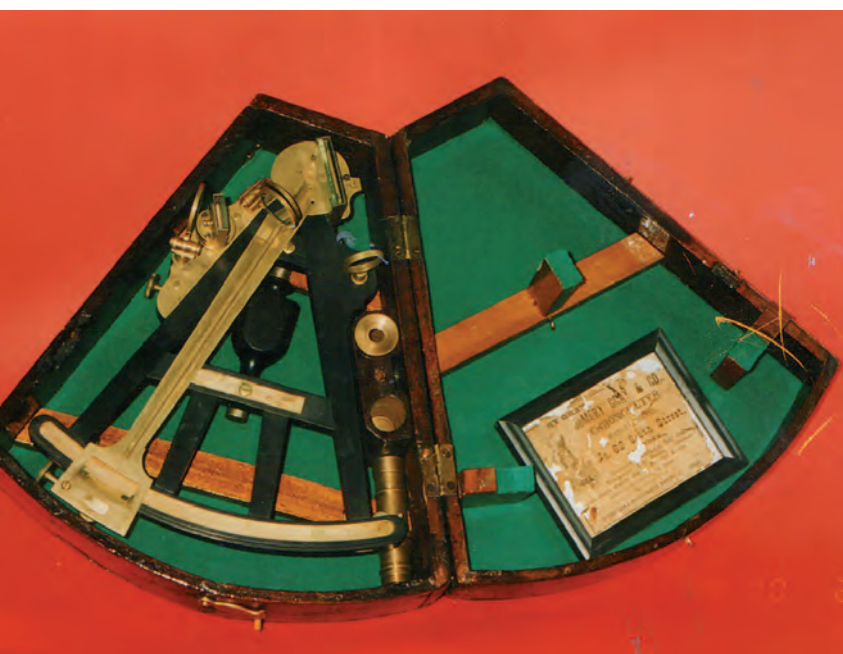
szybkości kliprów. W ciągu doby pokonywał 436 mil morskich, a więc płynął z przeciętną prędkością ponad 18 węzłów. Przy sprzyjających wiatrach jego prędkość przekraczała 21 węzłów, był więc w pełni godzien swojej nazwy (współczesne statki handlowe pływają z prędkością eksploatacyjną 14 węzłów, a 21 węzłów osiągają kontenerowce i chłodnicowce przewożące banany). Legenda głosi, że ten genialny konstruktor po serii udanych dzieł postanowił zbudować drewniany statek wzorowany na proporcjach biblijnej Arki Noego. W czasach McKaya znano już siły tnące i momenty gnące, a projektowany statek traktowano jak belkę leżącą na wodzie. Obliczenia wskazywały, że drewniany kadłub o proporcji długości do szerokości sześć do jednego, aby się nie złamać, nie może przekraczać 90 metrów. Dzięki zastosowaniu techniki komputerowej wiemy dzisiaj, że drewniany statek nie może być dłuższy niż 100 metrów, zaś Donald McKay zaprojektował żaglowiec o szerokości 16,2 metra oraz długości 99,1 metra, czyniąc go największym statkiem tego typu i zbliżając się na przysłowiowe trzy stopy do magicznej setki. Skąd wiedział, że statek o dumnej nazwie „Great Republic” się nie złamie? Nie zachowała się w jego papierach żadna notatka na ten temat, należy więc przypuszczać, że – jak każdy geniusz – miał on także wspaniałą intuicję. Niestety, 100-metrowemu niemal „Great Republic” nie było dane sprawdzić się na trasie kalifornijskiej (według legendy stało się tak dlatego, że konstruktor rzucił wyzwanie samemu

Bogu), bo odbył on tylko jedną podróż z Bostonu do Nowego Jorku, gdzie pożar w porcie strawił znaczną część jego wspaniałego kadłuba (aż do linii wodnej) i większość masztów – zaś na uratowane z pożaru wyposażenie nawigacyjne „Great Republic” polują kolekcjonerzy z całego świata.

W krótkim rejsie z Bostonu do Nowego Jorku kliper „Great Republic” miał tylko wyposażenie podstawowe: sekstant, liniał, cyrkiel i mapę. Podczas przygotowań do podróży kalifornijskiej dokupiono jeszcze dwa sekstanty, komplety map, locji oraz tablic nawigacyjnych. Większość z tego wyposażenia udało się uratować z pożaru. I choć Saul Moskowitz polował na sprzęty z tego statku, nie pojawiały się one na rynku antykwarycznym. Od czasów Johna Birda przez ok. 100 lat produkowano równoległe sekstanty mosiężne i drewniane, identycznie je wyposażając w komplety filtrów oraz śruby do regulowania prostopadłości i równoległości lusterek. Te korektory były niezmiernie ważne, gdyż wpływały na dokładność pomiaru. Nie wiadomo, dlaczego McKay wolał sekstanty drewniane od mosiężnych. Zapewne z tych samych powodów, dla których konstruował drewniane kadłuby statków zamiast stalowych.

Od 1980 r. pozostawaliśmy z Saulem w luźnym kontakcie telefonicznym, informując się wzajemnie o zadziwiających instrumentach, które tu i ówdzie spotykaliśmy. W roku 1988 gratulowałem mu świetnego artykułu *The World's First Sextants* w „Navigation”, a w lipcu następnego roku mogłem go powiadomić o upadku komunizmu. Po śmierci tego znawcy i kolekcjonera w 1991 r. jego spadkobierca syn Isaac znalazłszy w papierach mój adres, przesłał mi zaproszenie na aukcję kolekcji Saula, która (z wyjątkiem sekstantu Birda) miała zostać wystawiona 18 czerwca 1992 r. na aukcji w ekskluzywnej dzielnicy Londynu South Kensington, w domu aukcyjnym Christie's. Na tej aukcji mój pełnomocnik kupił sekstant z „Great Republic” (ryc. 3) oraz sekstant z „Olimpica” o czym później.

Drewniane sekstanty produkowano w Anglii jeszcze po zwycięstwie nad Napoleonem i prawdopodobnie ostatnią z firm, wykonującą sekstanty w latach 40. XIX wieku, była firma Spencer, Barret & Co. Jeden z takich przyrządów po kilku latach użytkowania na statkach brytyjskich został sprzedany w Nowym Jorku do warsztatu DeMory Gray na South Street 62, a następnie zakupiony na „Great Republic” jako część wyposażenia nawigacyjnego w podróż kalifornijską (przed tragicznym w skutkach pożarem).



Fot. 3 Sekstant z „Great Republic”

W 1995 r. popłynąłem do Los Angeles na jednostce pod banderą norweską i poznałem wtedy u agenta jednego z przedstawicieli japońskiej firmy Mitsubishi, czekającego na statek, który miał dostarczyć do jego kraju koncentrat rudy miedzi. Opowiedział on anegdotę o tym, że w swoim czasie sprzedano w USA japońskiemu biznesmenowi nóż *tantō*, którego po przegranej Japonii w II wojnie światowej użył premier Hideki Tōjō, by popełnić harakiri. Nóż kosztował 25 tys. dolarów, ale według sprzedawcy były to grosze w porównaniu z jego rzeczywistą wartością. Był w istocie bardzo pięknie zdobiony, więc biznesmen bez namysłu zapłacił żadaną sumę, sądząc że kupuje skarb narodowy. Kiedy wrócił do Japonii, przyjaciele poinformowali go, że premier się zastrzelił, a nie popełnił harakiri.

Tego samego wieczoru w jednym z antykwariatów w Los Angeles zobaczyłem drewniany sekstant firmy Spencer Barret&Co. Na jego skrzynce koloru skrzypiec znajdowały się dziewiętnastowieczne klamry i haki, a wewnątrz znak handlowy, po części nadgryziony przez szczury, ale składający się z dwóch naklejek (jedna na drugiej) DeMory Grey&Co. Te dwie naklejki zostały zatopione w plastiku, co miało je uchronić przed zniszczeniem, były więc świetnie zachowane, podobnie zresztą jak sam instrument. Będąc sekstantem z „Great Republic”, został wyceniony na 2,5 tys. dolarów. Antykwariusz potwierdził, iż instrument przez wiele dziesięcioleci był własnością jednej rodziny (w przeciwnym razie znalazłby się zapewne w kolekcji Moskowitza). Z powodu kłopotów finansowych, w jakie popadła ta rodzina, dopiero teraz został wystawiony na sprzedaż. Amerykanie tak pielęgnują swoje legendy, że drewniane sekstanty uwiecznione zostały na obrazie ich wybitnego malarza Winslowa Homera, chętnie sięgającego po motywy marynistyczne.

Następnego dnia złożył mi wizytę poznany u agenta Japończyk, tym razem jednak jego twarz nie była już nieruchomą maską; nie mógł ukryć malujących się na niej emocji. Okazało się, że w maszynowni statku, który miał właśnie przypłynąć do Los Angeles, doszło do poważnej awarii, a następna jednostka w tym czarterze dopiero wypływa z Chile, więc jeśli w ciągu najbliższych dni ładunek koncentratów nie wyruszy do Japonii, koncern Mitsubishi straci płynność produkcji. Zasugerował, bym się zorientował, czy mój armator nie mógłby zabrać koncentratów do Japonii, i zapytał, jakiej gratyfikacji życzyłbym sobie w przypadku odpowiedzi pozytywnej.



Fot. 4 Sekstant — rarytas z wyposażenia „Olimpica”, bliźniaka „Titanica” z 1910 r.

Odparłem, że jako człowiek skromny zadowolę się bonusem o wartości jednej dziesiątej legendarnego noża *tantō* dla premiera. Po telefonie do Bergen (gdzie mieszkał armator z polską żoną) i otrzymaniu akceptacji na rejs japoński podałem biznesmenowi adres antykwariusza, a po dwóch godzinach stałem się właścicielem sekstantu z niezwykłego „Great Republic” (ryc. 3). Dzisiaj można ten jedyny zachowany sekstant oglądać w szczecińskim Muzeum Morskim na Wałach Chrobrego.

Ten drugi sekstant to rarytas z wyposażenia „Olimpica”, bliźniaka „Titanica” z 1910 r. Pływałem trzy lata dłużej niż kapitan tragicznego transatlantyku i byłem *lucky captain*, więc go z symbolicznym pietyzmem przechowywałem. Instrument był świetnie zachowany (ryc. 4), w oryginalnej skrzyneczce oraz z wygrawerowanym na limbusie nazwiskiem właściciela i miejscem namieszkania *Belfast*, gdzie zbudowano obydwa ogromne wówczas transatlantyki.

Można dziś cieszyć oko opisanymi sekstantami w Parku Etnograficznym Niechorze.

Kapitan żeglugi wielkiej Józef Gawłowicz — wykładowca w Wyższej Szkole Morskiej w Szczecinie, pisarz, w latach 1963–1989 tajny kurier paryskiej „Kultury” do Polski; był także publicystą tejże „Kultury”, pisując do niej artykuły pod pseudonimami



Marcin Lutomierski

Polska w Canterbury

Historyczne i malowniczo położone miasto Canterbury co dwa lata gości duże grono Polaków uczących języka polskiego w różnych zakątkach Wielkiej Brytanii. Organizatorem spotkań o charakterze naukowo-metodyczno-integracyjnym jest Polska Macierz Szkolna z siedzibą w Londynie.

Na zaproszenie¹ tej 71-letniej instytucji miałem zaszczyt i przyjemność uczestniczyć w konferencji nauczycieli i dyrektorów polskich szkół sobotnich, która trwała od 5 do 7 lipca br. Program wydarzenia obejmował m.in. wykłady, warsztaty oraz wycieczkę.

Obrady odbywały się w gościnnych murach Keynes College The University of Kent. A dotyczyły one następujących tematów: *Kultura języka – język kultury* (Piotr Kajak), *Znaczenie muzyki w kontekście ważnych wydarzeń historycznych. Piosenki z różnych okresów polskiej historii* (Marta Radwan), *Energicznie, dynamicznie, czyli aktywny uczeń na zajęciach nie tylko językowych* (Beata Jędryka), *Od kiedy i w jaki sposób przygotowywać projekt badawczy do A level?*

¹ To był kolejny etap merytorycznej współpracy zainicjowanej w 2021 r.

Wskazówki praktyczne (Ryszard Hoppe, Janusz Kulczycki), *Wypalenie zawodowe. Jak budować i wspierać zespół w polskiej szkole sobotniej* (Paulina Szkolnik), *Posłuchaj, powtórz, przeczytaj, napisz... Czytanie i pisanie w grupach wczesnoszkolnych* (Tomasz Wegner), *Znaczenie muzyki w kontekście ważnych wydarzeń historycznych. Piosenki z różnych okresów polskiej historii* (Marta Radwan), *Pisanie na poziomie GCSE i A level* (Magda Moses), *Budowanie mostów, czyli jak kształtować relację z trudnymi rodzicami naszych uczniów* (Beata Jędryka), *Połączenie technik dramowych ze sztuką na lekcjach języka polskiego* (Patrycja Zajac), *Wyzwania czasu dorastania – trudny komunikacji z nastolatkiem. Jak mówić, żeby być wysłuchanym – jak słuchać, żeby chciał do mnie mówić?* (Paulina Szkolnik), *Film a historia: wybrane dzieła Krzysztofa Kieślowskiego i Andrzeja Wajdy* (Piotr Kajak), *Nowe Tematy GCSE Polish – prezentacja nowego wydania podręcznika i zeszytu ćwiczeń* (na warsztaty zapraszamy również nauczycieli klas GCSE) (Małgorzata Malinowska, Agnieszka Wronowska), *Język w ruchu: praktyczne ćwiczenia pionizacji języka dla lepszej wymowy* (Justyna Walczak), *Z geografią i historią na Ty w polskiej szkole sobotniej* (Ryszard Hoppe, Janusz Kulczycki),

Jesteś swój chłop, to znaczy mój chłop. Serial 1670 i techniki improwizacji teatralnej w strategiach tworzenia oraz rozwiązywania zadań egzaminacyjnych (Małgorzata Malinowska, Agnieszka Wronowska), *Panel dyskusyjny. Q&A z przedstawicielką ORPEG* (Małgorzata Kamińska), *Uniwersalne problemy i wartości w utworach Josepha Conrada* (Marcin Lutomierski).

Ponadto uczestnicy konferencji wysłuchali pasjonującej opowieści o Canterbury, a także związkach pisarza Józefa Korzeniowskiego (Josepha Conrada) z tym miastem i regionem. Okazją ku temu była piesza wycieczka, którą poprowadził znawca tematyki – Marian Biskupski.

Spotkanie w Canterbury miało przede wszystkim walory merytoryczne (wymiana wiedzy i doświadczeń), które w połączeniu z panującą niezwykle serdeczną atmosferą wyzwoływały bardzo pozytywną energię. Zarówno podczas wystąpień, jak i po ich zakończeniu wzmacniano dotychczasowe kontakty i nawiązywano nowe, inspirując się do współpracy na różnych obszarach.

Cykliczne konferencje organizowane w Canterbury stanowią jedną z wielu form aktywności Zarządu, Powierników i Członków Polskiej Macierzy Szkolnej. Przez cały rok władze PMS we współpracy z dyrektorami i nauczycielami organizuje liczne wydarzenia adresowane do dzieci, młodzieży i dorosłych. Należy podkreślić, że istniejąca nieprzerwanie od 71 lat Polska Macierz Szkolna jest instytucją charytatywną, która wspiera nauczanie języka polskiego i kultury polskiej dzieci mieszkających w Wielkiej Brytanii. Realizując ten cel, zrzesza szkoły w różnych miastach, przygotowuje uczniów do egzaminów z języka polskiego, wydaje książki i czasopisma (m.in. „Dziatwa” i „Razem Młodzi Przyjaciele”), organizuje konferencje i szkolenia oraz różnego typu konkursy adresowane do dzieci i młodzieży (literackie, plastyczne, recytatorskie), a także prowadzi w Londynie własną księgarnię.

Obecnie Polska Macierz Szkolna zrzesza blisko 150 polskich szkół sobotnich w Anglii, Walii, Irlandii Północnej i Szkocji. Do tych szkół uczęszcza ponad 20 tys. dzieci. Warto jeszcze przypomnieć, że wśród założycieli PMS byli działacze emigracji niepodległościowej na czele z gen. Władysławem Andersem. Dla tej zasłużonej instytucji pracowało i pracuje wielu emigracyjnych twórców edukacji i kultury, a jej bogaty i różnorodny dorobek wciąż się powiększa i odpowiada na wyzwania płynące z obecności dużej liczby Polaków w Wielkiej Brytanii.

Byłoby wspaniale i korzystnie dla obu stron, gdyby absolwenci polskich szkół sobotnich podej-



mowali studia nie tylko w uczelniach brytyjskich, lecz także w Uniwersytecie Mikołaja Kopernika, który ma dosyć bogate tradycje badań i współpracy z Polakami za granicą...



Dr Marcin Lutomierski — pracownik Wydawnictwa Naukowego UMK, współpracownik Wydziału Humanistycznego UMK

Fot. nadesłane

Maurycy Męczekalski

Koniec pewnej epoki

W ostatnich miesiącach pożegnaliśmy dwóch wybitnych artystów – muzyków i twórców, którzy mieli ogromny wpływ na rozwój polskiego jazzu i światowego bluesa, czyli gatunków, bez których trudno wyobrazić sobie współczesną muzykę rozrywkową.

Przemijanie jest niestety zjawiskiem naturalnym – co roku z naszego otoczenia odchodzą ludzie, którzy byli dla nas z różnych powodów ważni lub po prostu bliscy. O takich ludziach pamiętamy. W niniejszym tekście pozwolę sobie na osobiste wspomnienie o tych Artystach.

Najpierw, 7 maja tego roku, dotarła do mnie smutna wiadomość o odejściu **Jana Ptaszyna Wróblewskiego** – nadzwyczajnego polskiego jazzmana, zaś 22 lipca opuścił nas brytyjski bluesman **John Mayall**, nazywany często „ojcem białego bluesa”. Obydwaj muzycy to artyści powszechnie znani, o niekwestionowanej pozycji odpowiednio dla krajowej sceny jazzowej i światowego bluesa, o imponującym dorobku artystycznym. Warto więc pochylić się chwilę nad ich życiem i twórczością.

Dla mnie **Jan Ptaszyn Wróblewski** to po prostu „Ptak”, starszy kolega, który miał ogromny wpływ na moje zainteresowania muzyczne, a tym samym

na całe moje życie. „Ptak” był mi szczególnie bliski od wielu lat. Poznałem go osobiście prawie 35 lat temu, kiedy zaczynałem swoją pracę w „Od Nowie”, ale oczywiście znacznie wcześniej słuchałem jego licznych nagrań i audycji radiowych. Co niezwykle, przez te lata „Ptak” właściwie zupełnie się nie zmienił. Ta sama przygarbiona postać, legendarna czapeczka z daszkiem, papieros w dłoni, no i oczywiście saksofon – jego ukochany tenor. Pamiętam, kiedy wielokrotnie do niego telefonowałem, najczęściej odbierała jego żona Ewa, która anonsowała mnie dzwicznym głosem: „Ptaku, Maurycy dzwoni”.

Ptaszyn urodził się w Kaliszu i tam uczęszczał do szkoły muzycznej, gdzie uczył się teorii kompozycji, ale musiał również opanować fortepian i klarnet. Jak sam opowiadał, kiedy się już grało na klarnecie, to gra na saksofonie przychodziła nieomal automatycznie. Jego pierwszym saksofonem był baryton, lecz wkrótce jego prawdziwą pasją stał się tenor, z którym pozostał już do końca życia.

Znakomita większość osób z pewnością od zawsze kojarzy Ptaszyna z jazzem, jednak co ciekawe, jako pierwszy kierunek wybrał studia rolnicze w Poznaniu, a dokładnie mechanizację rolnictwa. Sam tak opowiadał o tej decyzji: „... wtedy na studia się chodziło po to, żeby nie pójść do wojska i wybierało się wydział, na który były jakiekolwiek szanse się dostać. Ja nie miałem żadnych punktów preferencyjnych, więc nie miałem wyboru nieomal. Takie były czasy. To oczywiście nie był racjonalny wybór jeżeli chodzi o kierunek studiów. Nawiasem mówiąc, właśnie na tę mechanizację rolnictwa między innymi właśnie dlatego się dostałem, że to był taki pakt wiązany. Polegał on na tym, że dostanę się na te studia, jeśli zdam egzamin, ale przy okazji w Szkole Inżynierskiej w Poznaniu założę orkiestrę. Wtedy wszystkie uczelnie miały swoje orkiestry, kabarety, teatry, diabli wiedzą co. Akurat tak się złożyło, że był wakat, jeśli chodzi o orkiestrę...”.

W Poznaniu rozwinął współpracę z Krzysztofem Komedą, którego poznał wcześniej w Warszawie. W 1956 roku debiutował w legendarnym Sekstecie Komedy, z którym odniósł pierwsze sukcesy na scenie jazzowej. Już dwa lata później jako pierwszy polski jazzman zagrał w ojczyźnie jazzu –



Jan Ptaszyn Wróblewski.

Fot. Wojciech Zillmann

Stanach Zjednoczonych. Było to koncert w międzynarodowym zespole na słynnym festiwalu jazzowym w Newport. Ptaszyn trafił tam z konkursu, jako jedyny reprezentant naszego kraju. W Newport spotkał dziesiątki wspinających muzyków, na czele z takimi gigantami jazzu jak Miles Davis czy John Coltrane, którzy również tam grali. Te spotkania wywarły gigantyczny wpływ na myślenie „Ptaka” o muzyce.

Późniejsza kariera saksofonisty to prawdziwe pasmo sukcesów oraz wyraz jego nadzwyczajnej aktywności: był liderem własnych zespołów (kto jeszcze pamięta Stowarzyszenie Popierania Prawdziwej Twórczości „Chałturnik”), aranżerem, dyrygentem oraz kompozytorem. Spod jego pióra wyszło wiele kompozycji filmowych, symfonii, a nawet piosenek, z których najbardziej znane to: *Dom w malwy malowany*, *Żyj kolorowo*, *Kolega maj* czy *Zielono mi*.

Ptaszyn był wielkim propagatorem jazzu. Na jego audycji „Trzy kwadransy jazzu” w radiowej Trójce wychowały się całe pokolenia miłośników jazzu. Był polskim Willisem Conoverem, którego programu „The Jazz Hour” w The Voice of America słuchał cały świat. Jednak Ptaszyn w odróżnieniu od Conovera, który tylko zapowiadał utwory, rozwinął twórczo swoje audycje, komentując prezentowane nagrania, opowiadając w barwny sposób jakieś ciekawostki czy anegdoty o wykonawcach. Regularnie również zapowiadał festiwale i koncerty jazzowe, które odbywały się w Polsce, w tym wielokrotnie nasze koncerty zaplanowane w „Od Nowie”.

Jak chyba żaden inny polski artysta jazzowy Ptaszyn był związany z „Od Nową”. Jeszcze jako szef nieistniejącego już Klubu na Bielanach „Imperial” zapraszałem go na koncerty na początku lat 90., ale jak sam wspominał, z pewnością grywał już w latach 60. w „Od Nowie” zlokalizowanej wtedy na Rynku Staromiejskim w obecnym Dworze Artusa. Kiedy w roku 1994 zacząłem organizować koncerty na „małej” scenie Klubu „Od Nowa” Ptaszyn oczywiście regularnie na niej gościł. Ze swoim kwartetem, który czasami nazywał swojsko czwartetem pojawił się na pierwszym, historycznym JAZZ Od Nowa Festival w 2001 roku. Później, co 5 lat, regularnie koncertował na kolejnych jubileuszowych edycjach festiwalu. Najczęściej był to kwartet, ale grywał również w większym, sześciuosobowym składzie z Robertem Majewskim i Henrykiem Miśkiewiczem.

Jan Ptaszyn Wróblewski występował również poza festiwalem – na jubileuszach „Od Nowy” w 2008 i 2018 roku czy na specjalnym koncercie z okazji swoich osiemdziesiątych



Jan Ptaszyn Wróblewski i Maurycy Męczekalski na I JAZZ Od Nowa Festival w 2001 r.

Fot. Archiwum Klubu Od Nowa

urodzin. W roku 2012, kiedy inaugurowaliśmy działalność Akademickiego Centrum Kultury i Sztuki „Od Nowa” po rozbudowie, Ptaszyn uświetnił swoim koncertem otwarcie nowej sali kinowo-widowiskowej. Wtedy jedyny raz w życiu miałem zaszczyt z nim zagrać. Ptaszyn swoim saksofonem tenorowym wzbogacił koncert mojego zespołu Tortilla. Ten koncert pokazał, jak bliskimi gatunkami są jazz i blues. Mistrz tenoru zagrał z nami praktycznie bez żadnej próby, a można było odnieść wrażenie, że bluesa grywa na co dzień. Ten fakt znakomicie potwierdza znaną prawdę, że bez bluesa nie byłoby



John Mayall & The Bluesbreakers w The Corn Exchange Cambridge (listopad 2006 r.)

Fot. Ramsey



Walter Trout.

Fot. Archiwum ACKiS Od Nowa

jazzu, a im dalej spoglądamy wstecz, tym bardziej widać bliskość bluesa i jazzu.

Skoro już o bluesie mowa, to czas w tym miejscu na krótkie wspomnienie kolejnego Wielkiego Mistrza – brytyjskiego bluesmana **Johna Mayalla**. Jeden z jego albumów nosi wymowny tytuł *Jazz Blues Fusion*, co kolejny raz potwierdza tezę o ścisłych związkach jazzu i bluesa. Ten urodzony w Anglii w 1933 roku muzyk to prawdziwa historia światowego bluesa. Obok innej legendy – Alexisa Kornera, nazywany bywał często „ojcem białego bluesa”. Był tak zwanym multiinstrumentalistą – grał na instrumentach klawiszowych, gitarze, harmonijce ustnej, śpiewał i komponował. Nagrał ponad 60 płyt, głównie z własnymi kompozycjami, z których najbardziej znana jest moim zdaniem znakomita *Room to Move*, wykonywana przez wielu muzyków na całym świecie. W roku 1965 założył kultową formację The Bluesbreakers, z którą współpracowało wielu wybitnych gitarzystów w tym: Eric Clapton, Peter Green, Mick Taylor czy Walter Trout. Tego ostatniego gitarzystę – wirtuoza tego instrumentu mieliśmy okazję zobaczyć podczas 30. Toruń Blues Meeting w „Od Nowie”. Sam Mayall w Polsce wystąpił wiele razy. Ci, którzy widzieli film *Wielka Majówka* z 1980 roku, z pewnością pamiętają krótką scenę, kiedy John Mayall wchodzi do hotelu. Z Johnem Mayallem mam również osobiste wspomnienie. W tym samym roku byłem na jego koncercie w Hali Arena w Poznaniu. Był to mój pierwszy w życiu koncert zachodniego wykonawcy. Mayall promował

wtedy swój album *No More Interviews*. Pamiętam ten koncert doskonale. Mimo dość siermiężnych PRL-owskich warunków i obecności całego tabunu milicjantów, których zadaniem było oddzielenie sceny od widowni, jego atmosfera była niezwykła, a moja miłość do bluesa rozkwitła wtedy na dobre.

Naprawdę bardzo blisko było do zaproszenia Mayalla na koncert na festiwal Toruń Blues Meeting w „Od Nowie”. Nasze rozmowy przerwała pandemia, a później artysta już ograniczył swoją karierę do Stanów Zjednoczonych. Od końca lat 60. mieszkał w Laurel Canyon w słonecznej Kalifornii i tam, w samym środku lata, zakończył swoje długie, pracowite życie.

Na koniec moich wspomnień powrócę na chwilę do Ptaszyna. Kiedy w marcu tego roku obchodził swoje 88. Urodziny, wysłałem mu w prezencie tekst piosenki autorstwa Waldemara Ślęfarskiego (współtwórcy festiwalu Majowy BUUM Poetycki). Utwór z moją muzyką ukaże się na najnowszej płycie zespołu Tortilla. Kompozycja nosi tytuł *Dzięki Ptaku*:

Kiedy szarość do herbaty,
zamiast cukru sypał dzień,
wtedy jak kroplówka światu,
innej barwy dawał jazz.
Z czarnej płyty jak z palety
kolory pojawiały się.

Od ragtime-u do be-bopu,
od Blue Moon do Love Supreme,
Parker, Coltrane i Komeda,
Nowy York i New Orleans.
Z czarnej płyty groove i temat
w sercu grają mi do dziś

Dzięki Ptaku za te dźwięki,
podróż, która trwa od lat,
Radio, scena, Twój saksofon,
brzmienia i kolorów świat.
Za synkopę w codzienności,
która życiu daje smak.

Kiedy wysyłałem mu ten tekst, nie sądziłem, że już nigdy się nie spotkamy.

Maurycy Męczekalski — dyrektor Akademickiego Centrum Kultury i Sztuki „Od Nowa”

Stanowisko dyrektora Instytutu Archeologii UMK w sprawie badań archeologicznych w strefie reliktyw kościoła św. Krzyża i cmentarzyska (stanowisko 114)

W mediach pojawiają się ostatnio zarzuty dotyczące działalności Instytutu Archeologii UMK, które nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Dlatego też zostaliśmy zmuszeni do naświetlenia kilku kwestii.

Na początek wyjaśnijmy jedną rzecz. Archeolog, magister Mariusz Ciszak, który atakuje Instytut Archeologii UMK, nie jest w tej sprawie osobą bezstronną. Reprezentuje interesy inwestora, czyli PGE, który wybrał komercyjną firmę prywatną Ciszak&Ciszak jako wykonawcę badań archeologicznych w strefie budowy ciepłociągu prowadzącego do planowanego budynku Europejskiego Centrum Filmowego Camerimage. Pozwolenie na te prace otrzymał od Kujawsko-Pomorskiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków nie Pan M. Ciszak, ale właśnie PGE. Natomiast Instytut Archeologii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, reprezentując Prezydenta Miasta Torunia, właściciela tego terenu, zawarł z nim umowę ekspercką dotyczącą oceny trybu i sposobu prowadzenia prac archeologicznych w strefie budowy ciepłociągu (stanowisko Gminy Miasta Torunia z 10.07.2024 roku; <https://www.archeologia.umk.pl/nauka/ucasin/>). Instytut nie uzurpował sobie do tego prawa, został o to poproszony. Niemal 20 lat temu IA UMK prowadził tu badania, odsłaniając liczne groby oraz bardzo dobrze zachowane relikty gotyckiego kościoła i klasztoru benedyktynek (Archaeologia Historica Polona, t. 19, 2011). Dla jasności – Instytut nie ubiegał się o zlecenie na badania archeologiczne w strefie budowy ciepłociągu czy głównego budynku ECFC. Nie konkuruje z firmą usługową pana M. Ciszaka, gdyż prowadzi własne prestiżowe naukowe projekty w kraju i zagranicą, a w Toruniu przygotowuje się do badań kompleksu św. Ducha na Bulwarze Filadelfijskim.

Początkowo nie było żadnego sporu między Instytutem a panem M. Ciszakiem, może jedynie



poza tym, że nie wywiązał się on z deklaracji złożenia zlecenia na konserwację dwóch drewnianych, średniowiecznych chłodni z badań przy ECFC, które trafiły pół roku temu na jego prośbę do Pracowni Konserwacji. Nasze zastrzeżenia były skierowane w stronę Kujawsko-Pomorskiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, gdyż Instytut zakwe-



stionował słuszność decyzji, jaką było uzgodnienie rozbudowy ciepłociągu w rejonie niewidocznych na powierzchni ziemi reliktyw gotyckiego kościoła św. Krzyża i największego średniowiecznego cmentarza toruńskiego znajdującego się niedaleko dzisiejszego Muzeum Etnograficznego. Niewiele osób wie, że w latach 80., w czasach PRL na murach kościoła zainstalowano betonową komorę ciepłociągu, a jego rury umiejscowiono na relikwach prezbiterium. Stąd krytyka decyzji K-P WKZ, tym bardziej, że Konserwator w rozmowach umniejszał archeologiczną i historyczną rangę tego miejsca, mówiąc m.in., że mury czy groby występują wszędzie na terenie Torunia niezależnie gdzie – mówiąc kolokwialnie – się kopnie. W jego pierwszej decyzji, wydanej dla PGE, nie było słowa ani o kościele, ani o cmentarzu, co niepokoiło jeszcze bardziej, a pozwolenie na badania wydano na podstawie programu prac archeolo-

gicznych w formie nadzoru. W ogóle nie wzięto pod uwagę potrzeby przeprowadzenia w tym miejscu wyprzedzających badań wykopaliskowych. To nie była „burza w szklance wody”, lecz upomnienie się o przestrzeganie pryncypiów dotyczących ochrony dziedzictwa archeologicznego – ABC standardów postępowania, opisanych ponad dekadę temu przez Generalnego Konserwatora Zabytków.

Jeżeli chciano podjąć tak kontrowersyjną decyzję, jaką było usytuowanie przepustu ciepłociągu w obrębie reliktyw kościoła, to należało przekonać inwestora, czyli PGE, do przeprowadzenia w tym miejscu badań wyprzedzających, zresztą niewiele szerszych, niż wynikało to z projektu inwestycji, ale kluczowych dla oceny stanu zachowania tego obiektu i jego układu przestrzennego. Sam prezes PGE na spotkaniu roboczym deklarował, że jest skłonny zaakceptować takie rozwiązanie. Byłaby to także niepowtarzalna okazja, aby to ważne miejsce przebadac należycie. W trakcie prowadzonych w siedzibie PGE negocjacji, z udziałem przedstawicieli inwestora, miasta, K-P WKZ i Instytutu Archeologii, zapadły wstępne decyzje, ażeby poszerzyć wykop i zadokumentować relikty prezbiterium. Ustalono wtedy wspólnie, że wyniki tych badań będą stanowić podstawę do podjęcia dalszych decyzji przez K-P WKZ. Całkowicie bezpodstawne jest twierdzenie M. Ciszaka, że badania sugerowane przez Instytut Archeologii trwałyby 5–6 lat. Ocenialiśmy je najwyżej na kilka tygodni, czyli nie dłużej niż trwały bezproduktywne rozmowy z K-P WKZ i PGE o badaniach w rejonie kościoła św. Krzyża. Niestety pomysł rozszerzonych badań został ostatecznie odrzucony, a K-P WKZ zdecydował o kontynuowaniu prac ziemnych wykonywanych koparką na gąsienicach i interwencyjnych badaniach archeologicznych w zakresie granic inwestycji. Pan Ciszak prowadził te badania w takim zakresie, jak to określone zostało w decyzji K-P WKZ, stąd nie był on bezpośrednim adresatem zastrzeżeń. Ostateczne stanowisko K-P WKZ, podtrzymujące wszystkie swoje wcześniejsze decyzje, zamykało właściwie sprawę. Zostało to skomentowane w skierowanym do niego piśmie zatytułowanym *Gotyki na dotyk... rur ciepłowniczych* (<https://www.archeologia.umk.pl/nauka/ucasin/>).

Rzeczywisty konflikt z panem Ciszakiem pojawił się dopiero w momencie, kiedy na dwóch konferencjach prasowych zwołanych najpierw przez niego, a następnie przez K-P WKZ, zaczął on bezpardonowo atakować Instytut Archeologii i Zespół do badań średniowiecznego Torunia. Pan Ciszak i K-P

WKZ ramię w ramię przekonywali opinię publiczną o słuszności decyzji konserwatorskich i poprawności zastosowanej metody badawczej. Zwłaszcza ten drugi spektakl warto obejrzeć na stronie FB „Kiepiński Konkretnie” i ocenić jego żenująco niski poziom. Pan Ciszak w trakcie tej konferencji zupełnie bezpodstawnie zaczął podważać rzetelność badań prowadzonych 20 lat temu przez Instytut Archeologii UMK. To działanie to prymitywna obrona swojej racji przez atak. W dwóch, oficjalnych oświadczeniach, Instytut odniósł się do tych absurdalnych zarzutów godzących w dobre imię Uniwersytetu, dokumentując to w drugim oświadczeniu zdjęciami z badań w 2005 r. (<https://www.archeologia.umk.pl/nauka/ucasin/>).

Na tej samej konferencji i później w wywiadzie dla „Tylko Toruń” M. Ciszak, manipulując opinią publiczną, dezinformował w sprawie badań georadarowych przeprowadzonych na reliktach kościoła św. Krzyża przez Uniwersytet Łódzki, na rzekome zlecenie UMK. Instytut rekomendował te badania, sądząc, że ich wyniki przekonają K-P WKZ do zmiany stanowiska w kwestii lokalizacji przepustu ciepłociągu pod ulicą lub do poszerzenia zakresu prac badawczych. Zleceniodawcą tych badań była jednak Gmina Miasta Torunia, a nie UMK. Niestety, ze względów technicznych nie przyniosły one oczekiwanych rezultatów, o czym wszyscy uczestnicy spotkania w siedzibie PGE zostali poinformowani w kilka dni po ich przeprowadzeniu. Nie miały one też ostatecznie żadnego znaczenia w omawianej sprawie. Otóż – bardzo szybko okazało się, że mury kościoła, których poszukiwano metodą georadarową, a w których istnienie wątpił K-P WKZ, odsłonięte zostały w trakcie prac pana Ciszaka. Niedorzeczne jest ubolewanie, że z wynikami badań georadarowych nie zapoznano go przez kolejne trzy tygodnie. Pan Ciszak próbuje wykreować całkowicie sztuczny, absurdalny problem niemający żadnego przełożenia na podejmowane wtedy decyzje, a jego stwierdzenie, że badania te miały jedynie za zadanie opóźnić inwestycję, jest tak niedorzeczne, że trudno go komentować. Również twierdzenie, że Instytut kontrolował jego badania, jest całkowicie nieprawdziwe, gdyż reprezentując Prezydenta M. Torunia, Uniwersytet nie miał takich uprawnień. Trudno ocenić, czemu mają służyć te insynuacje i manipulowanie opinią publiczną.

Granice dopuszczalnej krytyki wobec Instytutu Archeologii UMK zostały przekroczone 26 lipca. Nowa K-P WKZ, po pięciu dniach swojego urzędowania, skierowała do dyrektora Instytutu Archeolo-



gii pismo, w którym zażądała wyjaśnień dotyczących badań Instytutu sprzed 20 lat, które rzekomo były prowadzone niemethodycznie i niezgodnie z wydanym wówczas pozwoleniem konserwatorskim (<https://www.archeologia.umk.pl/nauka/ucasin/>). Wskazywać na to miało niedokopanie wykopu do poziomu warstw naturalnych, pozostawienie w wykopie szkieletów ludzkich, luźnych kości ludzkich i wielu śmieci. Dodano także zarzut profanowania cmentarza. Do pisma dołączono dwa protokoły spisane na wykopie przez pracownicę K-P WKZ z informacją, że inspekcję przeprowadzono na podstawie zawiadomienia pana M. Ciszaka, którego wykop pod przepust ciepłociągu częściowo objął teren badany wcześniej przez IA UMK. W swoim komentarzu do artykułu Pauliny Błaszkievicz opublikowanym w „Gazecie Wyborczej” 25 sierpnia br. M. Ciszak sugeruje, że prawdziwą przyczyną krytykowania przez Instytut Archeologii prac ziemnych w obrębie gotyckiego kościoła było ukrycie „nadużyć i nieprawidłowości” Instytutu z 2005 roku. Jest to kolejne pomówienie M. Ciszaka zasługujące na reakcję prawną.

Instytut Archeologii UMK traktuje sprawę bardzo poważnie, to ciężkiego kalibru oskarżenia sformułowane wobec renomowanej jednostki uniwersyteckiej kształcącej studentów archeologii, współpracującej z wieloma instytucjami badawczymi w kraju i za granicą. Są one całkowicie bezpodstawne, zważywszy na to, że wszystkie prowadzone w 2005 roku prace były wielokrotnie monitorowa-

ne w terenie przez przedstawicieli K-P WKZ w Toruniu. Świadczą o tym protokoły spisywane przez tą samą urzędniczkę urzędu ochrony zabytków niemal 20 lat temu. W czerwcu 2006 roku wszystkie prace prowadzone na tym stanowisku przez Instytut Archeologii UMK zostały odebrane z potwierdzeniem zgodności z wydanym pozwoleniem konserwatorskim (<https://www.archeologia.umk.pl/nauka/ucasin/>). Co się zatem stało przez te 20 lat? W którym momencie pracownica urzędu konserwatorskiego nie dopełniła obowiązku służbowego? Wtedy kiedy potwierdzała rzetelność badań Instytutu Archeologii czy teraz, kiedy po latach zanegowała to pod wpływem zawiadomienia M. Ciszaka. Wykonana w 2005 roku dokumentacja, zarówno fotograficzna, jak i rysunkowa, a ponadto publikacja wyników badań w AHP w sposób jednoznaczny potwierdzają, że zarzut niedokopania wykopu i zostawienia w nim niewyeksplorowanych szkieletów ludzkich jest całkowicie nieprawdziwy i stanowi pomówienie. Opinia p. Ciszaka i przedstawiciela K-P WKZ świadczy albo o braku odpowiednich kompetencji i doświadczenia terenowego, albo co gorsza – o celowym deprecjonowaniu Instytutu Archeologii. Na tę drugą opcję wskazuje także manipulacja przy zdjęciach mających rzekomo dokumentować pozostawione w wykopie śmieci. Dowody na to przedstawione zostały nowej K-P WKZ w oświadczeniu ówczesnego kierownika badań (<https://www.archeologia.umk.pl/nauka/ucasin/>). Nieuprawniony zarzut profanacji szczątków kostnych jest skandaliczny jeszcze z jednego powodu. Kierownikiem tych badań był zasłużony archeolog, uczestnik niełatwych pod względem emocjonalnym ekspedycji naukowych Instytutu Archeologii UMK ekshumujących w Kijowie i Charkowie szczątki pomordowanych w trakcie II wojny światowej polskich oficerów oraz badających obozy zagłady w Bełżcu i Sobiborze, profesjonalista o dużym stopniu wrażliwości, szczególnie jeśli chodzi o eksplorację cmentarzy. Warto w tym miejscu dodać, że z sytuacją niedokopania wykopu i zostawienia szkieletów na określonym poziomie mieliśmy natomiast na tym stanowisku do czynienia w innym wykopie badawczym, co na wniosek IA UMK zostało w 2005 roku zaakceptowane przez K-P WKZ. Chodziło o zaprzestanie nieuzasadnionej wtedy eksplo-

racji grobów w wykopie wąskoprzestrzennym, co się obecnie dzieje w związku z budową ciepłociągu. Postulowaliśmy – przy akceptacji K-P WKZ – przebadanie całej powierzchni cmentarza w trakcie badań szerokoprzestrzennych wyprzedzających planowaną inwestycję (protokół K-P WKZ z 17.11.2005 rok).

Jeszcze jedna sprawa wymaga komentarza. Jest nią wezwanie do złożenia wyjaśnień Dyrektorowi Instytutu Archeologii zatrudnionego w firmie Ciszak&Ciszak doktoranta z Instytutu Archeologii UMK. Pan M. Ciszak przemilczał najważniejszy aspekt tej sprawy. Doktorant, zapewne pod jego nieobecność na wykopie, podpisał jako jedyny ze strony wykonawcy badań protokół sporządzony w trakcie inspekcji konserwatorskiej. W protokole tym sformułowano główne zarzuty wobec Instytutu, godzące w jego wizerunek. W rozmowie z kierownikiem studiów doktoranckich doktorant przyznał, że nie wiedział co podpisuje. Rażącem naruszeniem w tej sprawie jest dokonanie inspekcji bez zaproszenia przedstawiciela Instytutu Archeologii, a więc bez świadków, którzy mogliby stwierdzić, czy podczas niej nie doszło do manipulacji.

Wszystko wskazuje na to, że atak na Instytut Archeologii UMK zarówno wykonawcy prac archeologicznych, jak i przedstawiciela urzędu konserwatorskiego to próba odwrócenia uwagi od najistotniejszego problemu, jakim są niewłaściwe działania konserwatorskie dotyczące kościoła św. Krzyża oraz leżącego w jego sąsiedztwie cmentarza. Odpowiadając 30 lipca na pismo nowej WKZ, Instytut Archeologii zwrócił się do Niej z prośbą o natychmiastowe powołanie zewnętrznej, niezależnej komisji, która przeprowadzi audyt na wykopie i odniesie się do zarzutów postawionych Instytutowi Archeologii. Do tej pory nie uzyskaliśmy odpowiedzi. W tym czasie duża część kontrowersyjnego wykopu została zasypana.

Uniwersytet rozważa skierowanie sprawy na drogę prawną.



Prof. dr hab. Wojciech Chudziak — dyrektor Instytutu Archeologii UMK

Zdjęcia: Winicjusz Schulz



Ziemia. Planeta życia

autorzy: Jan Kopcewicz, Andrzej Sadurski, Andrzej Strobel



Ziemia jest fascynującą, unikatową planetą, która w trakcie 4,5 miliarda lat trwania przechodziła różne fazy swego rozwoju. Książka przedstawia poszczególne etapy tworzenia się Układu Słonecznego, powstawania planet oraz struktury wewnętrznej i zewnętrznej Ziemi. Opisana jest także geologiczno-biologiczna historia naszej planety. Czynnikiem, który zdecydował o unikatowej randze Ziemi, jest fakt istnienia na niej życia. W książce podana jest charakterystyka życia oraz mechanizmy jego powstania i rozwoju. Siedemdziesiąt tysięcy lat temu Homo sapiens był niewiele znaczącym gatunkiem, żyjącym w pewnym zakątku Afryki. W ciągu następnych tysiącleci wyrósł na pana całej planety i postrach biosfery. Człowiek ma środki i możliwości pozwalające zarówno zniszczyć życie, jak i spowodować jego spektakularny rozwój.



Melchior Wańkowicz – przypominany
autor: Aleksandra Ziolkowska-Boehm



Język polski w systemie edukacji
Montessori na etapie
wczesnoszkolnym
autor: Maciej Futyma

Kronika i czyny książąt i władców polskich autor: Gall Anonim redaktor: Tadeusz Grudziński



Obecny tom – będący wspólną inicjatywą Wydziału Nauk Historycznych i Biblioteki Uniwersyteckiej Uniwersytetu Mikołaja Kopernika – jest wydawnictwem wyjątkowym, zawiera bowiem nieopublikowane dotychczas, chociaż przygotowywane przez wiele lat przez wybitnego toruńskiego historyka – Profesora Tadeusza Grudzińskiego tłumaczenie kroniki Galla Anonima. Tadeusz Grudziński należał do grona badaczy, którzy zaczęli swoje studia i pracę naukową krótko po zakończeniu II wojny światowej. Początki Jego pracy nad tłumaczeniem kroniki Galla sięgają lat pięćdziesiątych XX wieku. Z różnych względów tłumaczenie to – co publikacją niniejszą staramy się nadrobić – nigdy nie ujrzało światła dziennego. Dziś ma ono wartość historiograficzną i jest dowodem trudów zmagania wybitnego historyka ze skomplikowaną materią źródła.



Elektryczny romantyzm. Nauka o
elektryczności a literatura i filozofia
polska pierwszej połowy XIX wieku
autor: Piotr Urbanowicz



Zdania – Piosenki – Literatura.
Język Polski dla obcokrajowców.
autorzy: Krzysztof Obremski, Maciej
Wróblewski

To Twój Głos

NAUKA • BADANIA • KULTURA

**GŁOS
UCZELNI**

 **KOMPAS**
AGENCJA TURYSTYCZNA



kliknij do nas:
www.bilety-lotnicze.com.pl



Accredited
Agent

